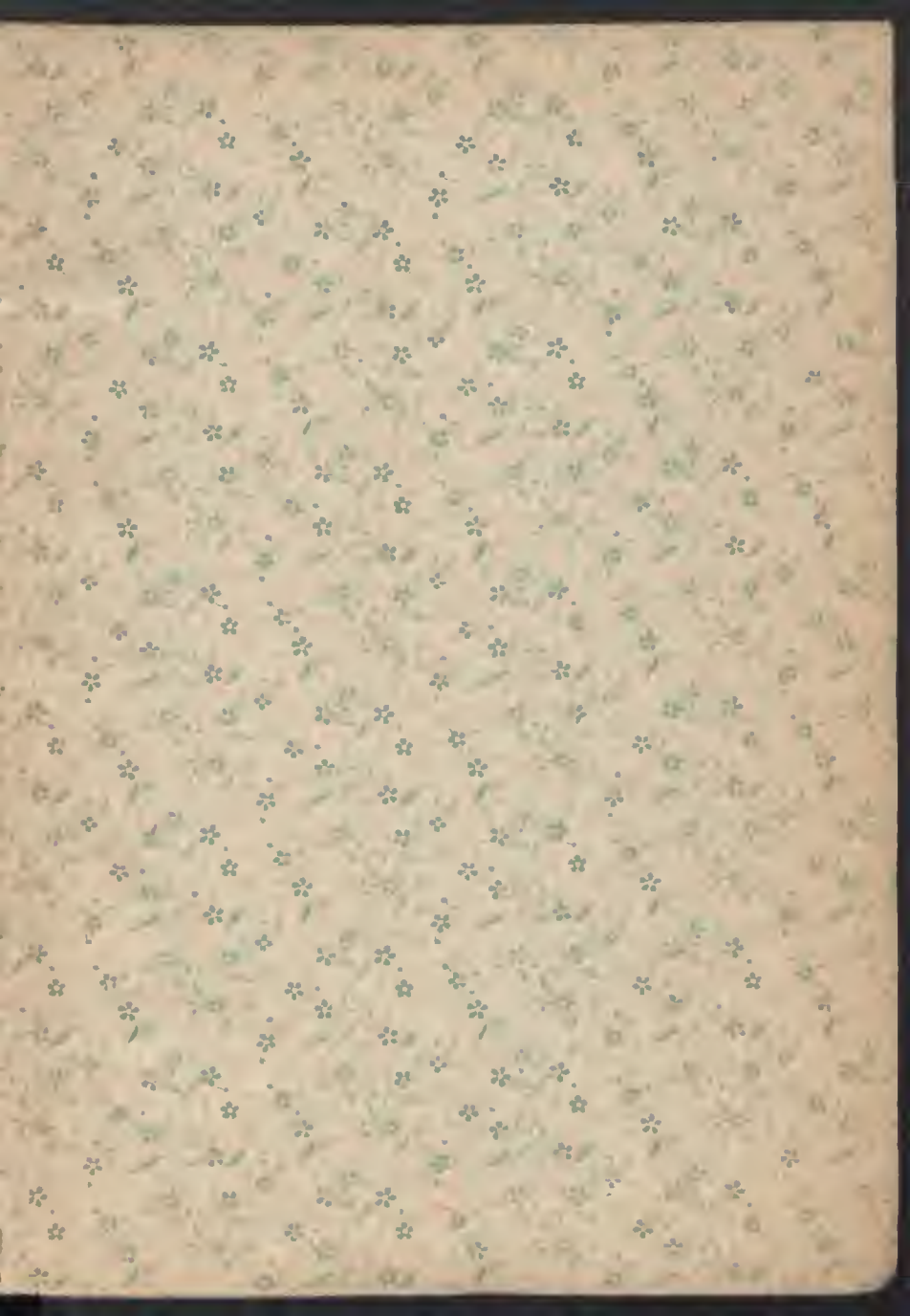


THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS



CHICAGO, ILL. 1963







MĘCZENNICY.

CZEŚĆ PIERWSZA.

NA WYSOKOŚCIACH.

OBRAZY ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

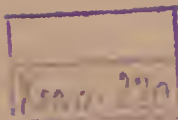
TOM I.

15383.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1886.



Доволено Ценаурою.
Варшава, 27 Ноября 1885 года.



W salonie księżny Eufrezyi miano podawać herbatę. Był to wieczór czerwcowy, dosyć gorący — okna wychodzące na cienisty ogród stary stały po-otwierane. Z dała przytłumiony słychać było gwar miasta; ale stare drzewa tak osłaniały pałacyk z tej strony, iż tylko z odgłosu można się było domyślać stolicy. Rozrosłe ich konary zielonem sklepieniem pokrywały trochę wilgotny i smutny ogródek, któremu mury ze wszech stron go otaczające, kradły powietrze i słońce...

Jak on tak i pałacyk miał pozór dobrze zachowanej pamiątki, niezbyt już dla nowszych życia wymaganiań dogodnej. Wiek musiał co najmniej upłynąć jak po raz ostatni mury tego gmachu ustroiły się i odmłodziły. Nosił on wybitny charakter końca XVIII w., w którym był przerobiony.

Teraźniejsza właścicielka czy przez poszanowanie, czy dla fantazyi jakiejs nic tu odmieniać i odnawiać nie chciała, choć złocenia były poczerniałe, białe malowania zbrukane, a stare obicia wyblakłe.

Zdawało się jej może, iż nie przystało starej rodzinie walczyć o lepszą z młodym zbytkiem naszych czasów. Salon biały ze złotem, z malowanemi nade-drzwiami, ze zwierciadłami w ramach ozdobnych, ze swym adamaszkiem niegdyś amarantowym, kilkunastu obrazami flamandzkiej i włoskiej szkoły, ze sprzętem staroświeckim, z mnóstwem fraszek, w których się dawniej kochano, a które dziś stały się osobliwościami kosztownemi — tak był w sobie cały i harmonijny, iż mimo śladów, jakie czas na nim zostawił, znawcy się nad nim unosili...

Księżna Eufrezya, będąc zmuszona zamieszkać tu dla wychowania córki jedynaczki, gdy raz postanowiła utrzymać pałacyk jakim był, starała się aby nie w nim nie stanowiło dyssonansu.

Więcej może kosztowała ta fantazyja pańska niżby restauracya była wyniosła — lecz znajdowano to powszechnie bardzo dystyngowanem. Księżna matka, z domu hrabianka*** pochodziła z rodziny, która swego czasu wslawiła się swą ekscentrycznością. Było to już we krwi jej i obyczaju... Za młodu niezmiernie żywa, wrażliwa, namiętna, cierpiała z tego powodu wiele... Pozostało jej nawet teraz blisko sześćdziesiątletniej dosyć jeszcze imaginacyi, życia, fantazyi, aby się nie nudzić na starość. Szczęściem dla niej wszystkie wybryki, do jakichby ją mogła krew gorąca doprowadzić — stłumiło jedno uczucie, które nad innemi wzięło górę.

Z drugiego małżeństwa, spóźnionego, miała córkę, do której się przywiązała ślepo, namiętnie, gorąco tak, że dla niej i nią tylko żyła...

Przyczyniało się może do tego, iż księżniczka Jadwiga przyszła na świat tak wątła, tak biedna. iż z początku wątpiono o ntrzymaniu jej przy życiu. Z nadzwyczajnemi staraniami i kosztem udało się dziecię to. bezsilne, trochę ułomne, wychować. Włożono ją do piasków nadmorskich, do powietrza odżywiającego, na słońce życiodawcze, na mleko karmiące po całym świecie, i księżniczka Jadwiga nareszcie rozwinęła się choć słabiutka, delikatna, wątła, bezkrwista, rozpieszczona, z jednym ramieniem nieco od drugiego wyższem, — obiecując już zdaniem doktorów i wypięknąć i sił nabrać, byleby się jej w niczem nie sprzeciwiano, — bo najmniejszego nie zносиła podrażnienia, a mała nieprzyjemność oddziaływała zaraz na stan jej zdrowia i stawała się groźną następstwą.

Staraniem matki nieustannem było czuwać, ażeby uśmiech nie schodził z jej bladej twarzyczki, by miała wszystko czego tylko zażądać mogła. Dziecię tak na rękę noszone, osłaniane, chuchane, musiało uczuć się panią, i mimo przywiązania do matki, wyrosnąć na tyrana.

Oczekiwano na herbatę.... W salonie lampa z zieloną osłonką paliła się już na stoliku, chociaż przez okna wpadał jeszcze blask dnia schyłku, o ile go drzewa osłaniające okna dopuszczwały.

W fotelu siedziała księżna matka, na której mimo bardzo starannego stroju i troskliwości o powierzchowność, mało znać było dawniej sławioną piękność.

Pomarszczona i żółkła twarz. straciła rysy odznaczające ją, i oczy tylko czarne i żywe, mówiące, nie postradały blasku. Usta ginęły w fałdach, a po-

liczki chudość zesześciła. Małego wzrostu, prosto się trzymająca, ze zbyt młodego do swej twarzy ruchami, księżna matka była ruiną, która się kazała burzliwej przeszłości domyślać. — Trudno jej było długo spokojnie w jednym miejscu usiedzieć, poruszała się ciągle, rzucała rękami, sobą, trzęsła głową... a oczy jej biegając do koła, wracały co chwila ku córce. Śledziła w niej najmniejsze wrażenia, usiłując odgadnąć, co je spowodowało, i nienastanne rzucając pytania.

Księżniczka Jadwiga siedziała na kanapie wsparta na ręczce białej, trochę długiej, chudawej, nieładnej lecz wypieszczonej jak one... Nie była piękną, ale właśnie znajdowała się w tej. często prędko przemijającej życia chwili, gdy młodość opromienia i wdziękiem swym złoci nawet to, co pięknem być nie może.

Twarzyczka blada, żółtawa, przezroczystej cery. trochę za nadto przedłużona, z czołem zbyt wysokim. z noskiem kształtnym, — wydawała się starszą niż miała prawo. Usta szerokie, zaciśnięte, odznaczał wyraz energiczny, samowolny. despotyczny niemal. Oczy w pięknej oprawie, ciemne, nieoznaczonej barwy patrzyły razem śmiało jakoś i smętnie. Kształty postaci nie wypełniły się jeszcze, bo może się nigdy zaokrąglić nie miały, lecz okrywała je skóra delikatna, a małej ułomności, dzięki sukienkom i różnym środkom dopełniającym, wcale widać nie było. Średniego wzrostu, słuszniejsza od matki, księżniczka Jadwiga miała wiele dystynkcji w ruchach. i choć niepiękna, czyniła wrażenie oryginalnym twarzy wyrazem. Młodziuchna zdawała się niemal starą, tak siebie była pewna i odważnie w świat i na ludzi spoglądała...

Własne upodobanie i troskliwość matki czyniły ją elegantką, a strój powszedni i domowy był tak wykwintny, iż dla jej wieku zdawał się niestosownym. I on czynił ją starszą niż była.

Księżniczka nie miała lat dwudziestu. Ubranie domowe było jedwabne, obszywane koronkami, przystrojone do zbytku, na szyi łańcuszek i medalion. na chudych rękach bransolety, na palcach dużo rozmaitych pierścieni, wreszcia utrefienie włosów dosyć ubogo rosnących — mogło na pierwszy rzut oka omylić i kazać się domyślać młodej mężatki. Śmiałość też i swoboda, których obecność matki nie hamowała, przyczyniały się do złudzenia.

Oprócz dwóch pań, z których rzeczywiście nie wiedzieć którą było nazywać gospodynią — mężczyzna w wieku znajdował się w salonie, i młodzieniec, którego zaraz zaprezentujemy.

Starszy, księżę Marcin, zupełnie siwy, trochę łysy, miał fizjonomię przyjemną i łagodną, nic nieznaczącą; oczy piwne niewielkie, usta wygięte stereotypowym uśmiechem, wąsik mały na zwierzchniej wardze, który był przeznaczony aby twarzy dodał energii i powagi, bo na tych jej zbywało. Ubrany mimo wieku starannie, czysto, nie bez smaku, figurką swą i całą osobą miłą czynił wrażenie. Z tytułem czy bez niego każdy w nim czuł jedną z tych istot biernych, które w wielki rachunek życia społecznego nie wchodzi, nie dobijają się stanowisk i zaspakajają tem, co im Bóg dał, kupując powolnością dla wszystkich, nad wszystko im miły spokój.

Był to jakiś stryj księżniczki. wybrany dla tych swych ujemnych przymiotów na opiekuna przez księżną Enfrezę, ażeby jak najmniej jej zawadzał.

Pierwszy to raz ktoś księcia Marcina brał tak na seryo i podnosił go do godności, o którą się nigdy nie dobijał. Dziwił się wyborowi kuzynki, lecz odrzucić go nie mógł, a obowiązki swe spełniał z takim zaparciem się własnych przekonań, iż księżna matka odchwalić się go nie mogła.

Książę Marcin nie był może umysłowo tak nposledzony jak się wydawał, lecz po żwawo spędzonej młodości i różnych przejściach doszedł do tej zasady, że z ludźmi o nic się spierać nie warto, najwygodniej jest potakiwać, uśmiechać się i żadnej nigdy walki nie rozpoczynać.

Książę Marcin też milczał najczęściej, miał dar słuchania wielki. słuchał inteligientnie i potakiwał w miejscu, trafnie, z rozmaitemi stopniowaniami, co gadułów nszczęśliwiało. Nazywano go skąpym, w istocie był oszczędny, a próżności miał tak mało, że nigdy dla niej grosza nie poświęcał. W chwili gdy go w salonie znajdujemy oczekującego z innymi na herbatę, — siedział twarzą zwrócony do starej księżny z attencją wielką i obrachowanym kierunkiem oczu. które z największą łatwością mogły się przenieść ku księżniczce Jadwidze.

Czwartym i ostatnim w salonie był młodzieniec tak piękny, że gdyby nawet oblicze jego nie miało na sobie dobitnie wyciśniętego piętna intelligencji rozwiniętej szczęśliwie — musiałby zwrócić oczy na siebie. Słuszny, brnnet, zbudowany jak posąg Apollina. kształtny, z wyrazem wielkiej. arystokratycznej dy-

stynkcyi — nie miał skazy. nie miał jednego rysu dysharmonijnego. Natura tworząc nawet takie arcydzieła bardzo często, przez ironię jakąś czemś oznacza ułomność ludzką. Niekiedy jest to plamka zaledwie dostrzeżona, a jednak wielkiego znaczenia. W siedzącym skromnie na trochę w cień odsuniętem krzeselku młodzieńca. najbystrzejsze oko nie mogłoby było dostrzedz nic, coby od niego zrażało i rozczarowywało.

Do tej piękności fizycznej, nadzwyczajnej, uderzającej, którą podnosiło to, że właściciel nie zdawał się do niej przywiązywać wagi. — dodać potrzeba ten promyk na czole, ten ogień w oczach, który piękności dodaje blasku i wdzięku.

Chłopak ubrany był bardzo skromnie. czysto. z angielską prostotą, lecz smakownie. Suknie miał czarne, bieliznę niepokalaną świeżości, i najmniejszej błyskotki na sobie. Z miejsca. jakie zajmował opadał nieco od trzech osób składających kółko zawarte, wnosić było można, iż do niego właściwie nie należał. i zajmował tu podrzędne jakieś stanowisko...

Pomimo oznajmionej herbaty, na jednej ręce miał już włożoną rękawiczkę i trzymał kapelusz, jakby się gotował do wyjścia.

Nikt na niego nie patrzył, ani wyzywał do rozmowy, która się toczyła tak swobodnie, jak gdyby go tu nie było. Księżna matka opowiadała coś kuzynowi, księżniczka Jadwiga pogrążona była w jakimś dumaniu, przerywanem niekiedy dodatkami: które do-rzucała do powieści matki; książę Marcin cały był zatopiony w słuchaniu. uśmiechał się i poruszał dowo-

dząc, że pilno zwraca uwagę i nadzwyczaj się bawi tem czem go częstowano.

Jedna tylko księżniczka Jadwiga kiedy niekiedy, nieznacznie oczkami biegła w stronę młodzieńca, zatrzymywała na nim wzrok znacząco, i jakby sama na siebie gniewna, odwracała go szybko. by po chwili znowu spojrzeć na milczącego gościa.

Czy oczy i wejrzenia ich się spotykały, trudno było odgadnąć — księżniczka wyraźnie strzegła się, by nie być wysledzoną i pochwyconą na uczynku. Młodzieniec niekiedy drgał, spuszczał źrenice na kapelusz, podnosił je, toczył oczyma po salonie, zdawał się pomieszany i wprędce odzyskiwał panowanie nad sobą.

Gra ta trwała dosyć długo, gdy wreszcie podniósł się z krzesła, i zdawał chcieć pożegnać. W tej chwili księżniczka postrzegłszy ten ruch, zwróciła się śmiało, i potrząsłszy główką, odezwała się pół głosem.

— Siedź pan!

Posłuszny gość, zarumieniwszy się nieco, usiadł — a księżna, która dosłyszała rozkaz wydany przez córkę, miała sobie za obowiązek urzędownie go potwierdzić i prędko dodała, tonem suchym, prawie niegrzecznym:

— Zostań pan na herbatę.

Na epizod ten podrzędnego znaczenia księżę Marcin nie zwrócił uwagi.

Księżniczka jakby chciała wystąpienie swe zagładzić, już ani patrzyła na młodzieńca.

W tem drzwi się otwały do saloniku bocznego. w którym podano herbatę, kamerdyner wszedł, a księżna matka podała z krygiem pociesznym rękę kuzy-

nowi. Księżniczka wstała powoli, ociągając się. niechętnie z kanapy, spojrzała na suknię, poprawiła coś koło niej, rzuciła okiem na powstającego też gościa. i poszła za matką przodem, nie podając mu ręki. O parę kroków dopiero za nią stanął zaproszony, trzymając się umyślnie z dala. Księżniczka szła tak wolno, że matka jej miała czas zasiąść do stolika, gdy ona i idący za nią jeszcze się znajdowali w pierwszym salonie. Parę razy obróciła się panna ku gościowi w milczeniu, wlepiając w niego oczy z wyrazem takim, z taką uporczywością, jakich przy matce nie miały. Ten wzrok pociągający zamiast go ośmielać, zdawał się przestraszać, co widząc księżniczka zatrzymała się, i wciąż patrząc w oczy, rzekła głosem pełnym znaczenia:

— Proszę koniecznie jutro o ten tom Mickiewicza— bardzo proszę.

Sklonił się powołany...

— Pan mnie masz trochę za dziecko i robisz wybór, którego ja nie lubię.

Uśmiechnęła się dziwnie i szepnęła:

— Ja wszystko czytam... wszystko... nawet czego, bym nie powinna może... nie cierpię tajemnic — chcę znać życie!!

Przyłożyła rękę do ust, uśmiechnęła się smutnie. lecz spostrzegłszy, że matka od stolika herbacianego niespokojne ku niej rzucała wejrzenia, dała znak głową młodzieńcowi i poszła do herbaty.

Tu ona miejsce swe zajęła przy matce, gdy bardzo zmieszany gość jak najskromniejsze sobie wybrał przy końcu stołu. Matka popatrywała na niego, na cór-

kę. i dalej prowadziła rozmowę z kuzynem, do której wesoło i śmiało przyłączyła się księżniczka Jadwiga.

Przy herbacie gość ów, którego tu zwano panem Celestynem, zachował się milcząco i jak przystało komuś, który jest zaledwie przypuszczony do — wyższego towarzystwa.

Nikt go nie zagadnął, tylko oczy księżniczki Jadwigi ciągle przesładowały, a że siedziała naprzeciw, choć dalej trochę, łatwo jej było niepostrzeżonej przez matkę prowadzić dalej tę niemą rozmowę.

Trwało to dosyć długo, aż wreszcie księżę Marcin żegnać się począł. a pan Celestyn wstał także i poszedł za jego przykładem.

Księżniczka zmrzniętymi oczyma bardzo znacząco pożegnała go i dała znak głową.

Gdy matka i córka pozostały same, milczenie zapanało w salonie. Troskliwy wzrok księżny ciągle śledził wyraz twarzy córki, siedzącej w zamyśleniu chmurnem. Widocznem było, że księżna coś powiedzieć chciała, a wstrzymywała się i nie śmiała począć.

— Cóż ci dziś jest Jadziu droga? — odezwała się wreszcie, przykładając jej rękę do czoła...

Czoło to namarszczyło się groźnie... Dziecko wiedziało, że najlepszym sposobem oswobodzenia się od pytań natrętnych matki, było — okazać się cierpiącą i nadąsaną.

— Ale cóż mi ma być? odpowiedziała kwaśno... Nie mi nie jest...

— Zmęczona jesteś — dodała wzdychając księżna i poruszając się niespokojnie. Ty wiesz, moje najdroższe, jedyne dziecko, jak ja cię kocham. i że niebabym

ci przychyliła... jestem ci posłuszną, wszystkim twym kochanym fantazyjkom dogadzam... ale ty bo... słabowita... delikatna... nadużywasz sił swoich... Te twoje lekcye i lekcye bez końca, to nienasycone nanki pragnienie... Trzeba w niem mieć miarę, jak ja się boję o zdrowie...

Zadumana Jadwinia potrząsała głową...

— Właśnie te jedne lekcye i tę nankę jedną lubię, odezwała się... Pozbawiona ich, umarłabym z nndów. Nie chcę być lalką taką jak inne moje rówieśnice...

Księżna pocałowała ją w czoło i zawołała:

— A! jaka główka gorąca!

Nie było na to odpowiedzi, córka ani oddała pocałowania, ani zmieniła postawy, siedziała smutna z wyrazem zadumy... Matka żywo poczęła się przechadzać po saloniku, coraz to spoglądając na nią.

Trwało milczenie.

— Mnie się zdaje, szepnęła po chwili księżna, stając przed córką—że ten nieznośny Celestyn tobie swemi lekcyami głowę przewraca... Doprawdy! Jabył się go pozbyć chciała...

Spojrzenie na córkę, wywołało z ust księżny okrzyk rozpaczliwy...

Jadzia zbladła, zmieniła się nagle, a niepiękna twarz jej tak się straszliwie wykrzywiła, takie oburzenie odmalowało się na niej, że księżna przerażona, objęła ją rękami, przytuliła do piersi, i cała drżąc poczęła pieścić jak małą dziecinę.

Na pannie Jadwidze to małe sprzeciwienie się matki uczyniło takie wrażenie, iż natychmiast potrzebą było wody, kropel jakichś, i nierychło wyraz twarzy powrócił do zwykłego stanu.

Księżna więcej niż się godziło zaniepokojona tem była... Oczy jej błyskały, usta się wykrzywiały. czoło pomarszczyło.

— Ale Jadziu najdroższa, szepnęła nieśmiało — z tobą nie można doprawdy pomówić nawet... a ja. ja-bym tak chciała, tak potrzebowała ..

Księżniczka jakby nagle mężstwo i siła w nią nadzwyczajna wstąpiła, wyprostowała się dumnie i odezwała się głosem podniesionym:

— Niechże mama mówi—proszę, bardzo proszę—bo i ja potrzebuję też tej rozmowy.

Spojrzały na siebie. księżna ją chciała pocałować, córka z lekka odtrąciła ją, powtarzając:

— Więc mówmy, mówmy!

Chwili namysłu potrzebowała matka, nim drżącym głosem się odezwała:

— Jeżeli cię to ma drażnić..

— Ja już jestem podrażniona.

— Czem?

Jadwiga milczała, zacisnąwszy usta.

— Czem?

Nie było odpowiedzi.

— Moja najdroższa — moja najśłodsza, jedyna ty moja, poczęła księżna, ręce załamując... Nie gniewa się, nie irytuj. błagam cię. Cóżem ja powiedziała tak straszного? Poskarżyłam się na tego... Celestyna — nie bierz mi za złe, jestem matką... lękam się go... ty...

— Cóż! ja? co? głośno przerwała księżniczka.

— Wiesz. nieśmiało zniżając głos, szepnęła matka — mogłabym cię posądzić doprawdy o rzecz poczwarną... Cóż cię ten jakiś pan Celestyn tak obchodzi?

— Ja tego jakiegoś pana Celestyna lubię — lubię — odparło dziewczę zuchwale — tak! i z tem się nie kryję.

Księżna oczy sobie zakryła...

— Jadziu moja!

Zamilkły obie; oczy córki rzucały ogniem i płomieniami na matkę, wyzywająco.

— Tak jest — lubię go. dodała, nawet bardzo...

— I dajesz mu to poznać!

— Nie wiem. sucho odrzekła córka.

— Dziecinna fantazyja! — poczęła księżna.

— Nie, to fantazyją nie jest — zaprzeczyła Jadzia, patrząc śmiało...

Księżnie na twarz występowały naprzemiany kolory i bladość trupia, usiłowała się poskromić, uspokoić, nie mogła...

— Chodźmy, rzekła zrywając rozmowę, — chodźmy do twojego pokoju... Spocznij...

Księżniczka potrząsnęła głową.

— Kończmy — odezwała się — cośmy poczęły. Ja mamie muszę powiedzieć otwarcie, że jeśli jakimkolwiek sposobem pan Celestyn zostanie oddalony — ja — umrę.

Ostatnie słowo do pół tylko wyrzeczone, matka z krzykiem pocałunkiem zamknęła.

Łzy się jej puściły z oczu...

Pomimo całego przywiązania do obóstwianego dziecka — księżna usłyszawszy to wyznanie, nadto była przełękła, aby się mogła powstrzymać.

— Jadziu na miłość bożą! przecież wiesz kto on jest, a kto ty! Przepaść was dzieli! To szaleństwo...

Księżniczka usłyszawszy to, wstała nagle z krzesła, i nie odpowiadając już nic. krokiem chwiejnym poczęła iść do pierwszego salonu. Matka wzięła ją niemal przemocą pod rękę i podtrzymując szła razem...

Nie mówiły już do siebie. ale na twarzy księżny Eufrezyi tak rozpaczliwy wyraz się wypiętnował, tak drżała, iż można było równie się o nią jak o córkę obawiać.

Scena ta nie musiała być ani niezwykłą, ani pierwszą,—bo w pogotowiu gdzieś stojąca średnich lat kobieta nadbiegła cichymi krokami. i wyręczając księżnę poprowadziła, coś szepcząc. pannę Jadwigę do jej pokoju.

Matka wlokła się za niemi jak nieprzytomna. Była tak zamyślona, że na zadane pytanie jej przez kamerdynera, po dwakroć powtórzone, odpowiedzi nie dała.

W salonie zatrzymawszy się nieco, księżna kazała sobie podać co potrzeba do pisania, ręką niepewną nakreśliła wyrazów parę i oddała służącemu.

Gdy potem pośpieszyła do pokoju córki, znalazła go zamkniętym, a u progu stojąca służba oznajmiła, że panienkę zaraz do łóżka trzeba było zanieść — i zdawało się, że usnąć miała.

Wyszedszy z pałacyku, pan Celestyn, gdy za bramę się dostał i znalazł w ulicy, stał długo zbierając myśli, jakby nie wiedział co począć.

Co kilka postąpił kroków, zatrzymał się i dumał znowu. Widocznie nierad był z siebie, znać to było z ruchów wszystkich...

Przechodnie potręcali go, nie zważał... Wreszcie szybko idący naprzeciw mężczyzna otarłszy się prawie o niego, już miał pominąć, gdy rozpoznawszy o mroku Celestyna, pochwycił go za rękę.

— Dobry wieczór! a! to ty!

Celestyn, jakby się dopiero obudził, szepnął:

— Dobry wieczór...

— Idziesz, dokąd? dawnośmy się nie widzieli, począł głos wesoły... Czy powracasz na Pragę do ojca, czy nocujesz w mieście?

Pytającego uderzyło milczenie posępnego pana Celestyna. Wziął go pod rękę.

— Co ci jest? znajduję cię w jakimś niezwykczajnem usposobieniu?

— W istocie—przebąknął zapytany—a nigdy może pożądańszem mi nie było spotkanie z tobą. Jesteśmy przyjaciółmi od szkolnej ławy i nie nazwiskiem tylko...

Tu przerwał i odetchnął mocno.

— Tak, dodał, znajduję się w położeniu dziwnem. Wiele sobie na świecie dotąd jakoś radzić umiałem... a dziś, doprawdy, czuję potrzebę poradzenia się...

Chciałbym, ażeby inne zimniejsze niż moje oczy w to wejrzały co się ze mną dzieje.

Przyjaciół słuchał z wielką uwagą.

— Ty — rzekł — tybyś potrzebował czyjejs rady?

Celestyn za całą odpowiedź ścisnął go za rękę.

— Chodźmy — odezwał się — siądźmy gdzie..

Wstąpmy...

Po krótkiej naradzie obaj wstąpili do pierwszej lepszej cukierni, która już była pustą. W pierwszym pokoju stary jegomość szklanekę dopijał. w drugim było ciemno. przeszli do niego. wołając o światło.

Spotkany w ulicy przyjaciel. jakby się przy nim okazało, był tegoż wieku co Celestyn, zdrowy i silny mężczyzna, twarzy pospolitej, lecz ożywionej wejrzeniem rozzumnem. Czoło prawie nízkie, szerokie było i niezwykłej budowy. Wyraz fizyognomii wskazywał chłodnego i praktycznego człowieka.

Siedli. kazawszy dać limonadę. Ale Celestyn, który na tę radę powołał. zadumawszy się. długo nie mógł przyjść do słowa...

Pan Michał wpatrywał się w niego uważnie i czekał.

— Tak — rzekł nareszcie głosem przytłumionym Celestyn — jest to położenie osobliwsze. i tylko takiemu jak ty wypróbowanemu drulowi zwierzyć się mogę z niego. Ojcu nawet mówić o tem nie śmiem ..

— Cóż to jest?

Celestyn ręką potarł czoło i począł:

— Wiesz. że mi nastreczono, narzucono dawanie lekcyi historyi. języków. literatury, nie wiem tam czego u księżny Eufrezyi..

Wcale mi to nie było na rękę, bo nie lubię dawać lekcyj panienkóm, tembardziej rozpieszczonej księżniczce... Musiałem jednak przyjąć wezwanie.

Westchnął.

— Doznałem przyjemnego bardzo zawodu, ciągnął dalej Celestyn— zbliżywszy się do mej uczennicy. Wydała mi się nieładną, obejście się jej ze mną było w początku dosyć niegrzeczne nawet — ale płaciła za to wcale niepospolita intelligencya, głowa otwarta, pojętność i pamięć nadzwyczajna. Słowem zdumiewać się jej musiałem.

— Cóż dalej?—podchwycił Michał.

— Lekcyje te przeszło rok trwają — dodał Celestyn smutnie — i doprowadziły mnie do tego szaleństwa, żem się prawie pokochał w mojej uczennicy. Ale toby niczem jeszcze było—rzekł głosem drżącym, — głupią miłość moją schowałbym tam gdzieby jej ludzkie nie dojrzało oko... gorzej jest, to rozpieszczone, biedne dziecię... ja nie wiem jak ci powiedzieć. Weźmiesz mnie za samochwalca... ona... ona — mam tego dowody... ona...

— Kocha się w tobie! podchwycił śmiejąc się Michał. Ale to było do przewidywania! Bez pochlebstwa nie ma kobiety, któraby się w tobie w końcu nie musiała zakochać. Jesteś przekłęcie piękny.

— Dajże mi pokój! zawołał Celestyn. Jest to sobie fantazyja dziecinna młodego dziewczęcia — ale w końcu to upaja... Bądź co bądź — stanowisko, imię, zwyczaje wykwiłtne — wszystko to ma urok, uderza, chwyta za serce... Niepiękną wydaje mi się dziś—czasem dziwnie zachwycającą! Oczy i serce znałogowały się do niej.. Co mam począć? co począć?

Pochwycił się za głowę pan Celestyn, a przyjaciel patrzył na niego z politowaniem.

— Nie brać dzieciństw na seryo! zawołał po chwili. Jeżeli się czujesz słabym — co u licha, uciekaj! Zdradzić położonego w tobie zaufania nie zechcesz... Miłość ta czy fantazya. jak sam wiesz, do niczego nie prowadzi. Ty jesteś chudym pacholkiem, a ona księżniczka. Toby jeszcze było niczem — ale tyś szlachetka sobie — a ona należy do tych rodzin, które mezaliansu nie dopuszczają... Sam wiesz, że z tego nic być może. Kochasz czy nie. kocha się ona w tobie czy ma fantazyę tylko — trzeba z drogi zejść i to co najrychlej!..

Sumienie i rozum tak każą...

Pan Michał dopijając limonadę, dokończył rezolutnie:

— Wiesz, że się dziwuję, iż mogłeś potrzebować rady czyjejkolwiek. i wątpić o tem co masz czynić?

Celestyn westchnął i mały uśmieszek przebiegł po jego ustach.

— Źle się wyraziłem, rzekł; właściwie nie rady potrzebuję. ale pociechy...

Michał realista chłodny odparł trochę ironicznie:

— Na miłosne cierpienia pociechy nie ma! a doprawdy nie pojmuję jak... mogłeś się w twej uczennicy tak rozkochać!

— Jak? podchwycił Celestyn — tego ja ci sam wytłumaczyć nie potrafię. Widziałeś ją pewno nieraz, wszyscy mówią. że nie jest wcale piękna, a dla mnie ma urok i wdzięk niewysłowiony...

W pierwszych tygodniach, gdy do dawania lekcyj zostałem wezwany, były mi one nad wyraz przy-

kre. W kątku pokoju z robótką siedziała nieodstępna stara panna. stara sługa domu, panna Klara. Nie przeszkadzało to księżniczce najswobodniej sobie postępować ze mną. Nie życzyła sobie, abym się z nią obchodził jak z dzieckiem. i zapowiedziała mi z góry, że tylko wyjaśnienia pewnych kwestyj i skazówek wymagać będzie odemnie. Wysypała zaraz cały w istocie zdumiewający zasób wiadomości, ogromnem czytaniem nagromadzony, i odkryła mi niepospolity umysł i zdolności, ale zarazem uparte przekonania pewne, od których odstępować nie chciała...

Kilka tygodni trwały nużące spory o najrozmaitsze kwestye... Byłem zupełnie zimny i trzymałem się w mej roli nauczyciela, profesora.

Nie wiem, czy ten chłód i obojętność moja. czy istotnie jakaś budząca się sympatya w tem sercu, niecierpiącym żadnych kajdan i niewoli... wkrótce zmieniły ją zupełnie. Sprzeczała się ze mną zawsze, ale wśród tych rozpraw niekiedy zamysłona, wsparta na ręku, wlepiała we mnie oczy tak dziwnie mówiące, wtracała takie pytania więcej życia niż literatury ty-czące się, żem się mieszać poczynął.

Przedsięwziąłem unikać wejrzeń, nie rozumieć alluzyj—i znowu wejść w ściśle oznaczone szranki nauczycielskie. Naówczas zaczynała się niecierpliwość. dąsać. przerywała lekcye, odsyłała mnie precz kapryśnie, powoływała ze wschodów... Byłem nad wyraz tem znużony. Lecz razem, przyznać to muszę, ta istota tak młoda, tak pojętna, sięgająca myślami tak daleko i wysoko, zdająca się pragnąć jakiejś duszy bratniej. współczucia... zaczynała we mnie wywoływać politowanie synpatyę, niepokój jakiś. Nie unikałem

już wejrzeń, nie mierzyłem tak troskliwie słów moich...

Księżniczka, którą przytomność panny Klary niecierpliwiła, wymogła na matce, ażeby ona siadała w drugim pokoju, którego drzwi zostawiano otworem.

Stało się według jej woli.

Lekcje literatury, czytanie i komentowanie poetów szło dalej, ale się odbywało w sposób najfantastyczniejszy. Księżniczka sama wybierała przedmiot, i z powodu jego rozpoczynała rozprawy często—kroć dla mnie tak drażliwe i niezupełnie właściwe—ztem nie wiedział co począć z sobą. Widząc mnie zakłopotanym, śmiała się i powtarzała ciągle:

— Ale ja nie jestem dzieckol

Z rozmów łatwo mi było odgadnąć, że czytała bez kontroli co tylko chciała, co jej wpadło w ręce, z tą ciekawością chorobliwą temperamentów pewnych, które granicy żadnej znać nie chcą.

Obejście się ze mną było najdziwaczniejsze. Niekiedy czułe do zbytku, poufałe, to dumne i chłodne. Sam na sam była zupełnie inną, przy matce bardzo ostrożną, jak gdyby się lękała, ażeby jej nie odebrano zabawki.

Tak przeżyłem rok w mękach, mój Michale, ale niekiedy i w marzeniach idealnych. Księżniczka pod pozorem zadań stylowych, dawała mi opracowania, w których odzywały się uczucia, malowało położenie, znajdowały alluzye najwyraźniejsze do nas obojga. Dawała mi je wymagając krytyk, uwag, odpowiedzi...

A przebieg tej choroby—bo inaczej uczucia mego nazwać nie mogę—opisać się nie daje.

Znasz mnie nadto. ażebyś mógł posądzić, żem wyszedł choć na chwilę z mej roli biernej. Nie zapomniałem się — to pewna: nie powiedziałem słowa, nie posunąłem się ani na pół kroku po za granicę mych obowiązków... ale gdy się kocha... miłość tajona i tłumiona zdradza się oczyma, milczeniem, jednym niczem...

P. Michał słuchając tych zeznań więcej okazywał zniecierpliwienia, niż zajęcia niemi. W końcu przystąpił do Celestyna, ręce mu położył na ramionach, wstrząsnął nim i zawołał:

— Dość tych ślamazarnych marzeń! Potrzeba być mężczyzną i uczciwym człowiekiem. Cobyś powiedział o młodym nauczycielu przyjętym do zacnego domu, któryby korzystał ze zbliżenia się do niewinnego a rozpieszczonego dziecięcia i chciał mu zawrócić głowę?

— Potępiłbym go — odparł wstając Celestyn... nie wątpisz o tem.

— No — a zatem nie pozostaje ci nic nad uwolnienie się od lekcyj — rzekł Michał, — i to co najprędzej. Ty weź się do pracy i staraj się o marzeniu zapomnieć...

Celestyn smutny i milczący poczynął się już wybierać z powrotem do domu, widząc przyjaciela prawie nadąsanym. Na stole przy kapeluszu jego leżał tom poezyj Mickiewicza, który właśnie księżniczka mu oddała.

Michał machinalnie wziął go w rękę, a w tej chwili kartka z niego wypadła. Celestyn zarumienił się mocno; spojrzeli na siebie. Podniósł ją drżący, i nie mógł się wstrzymać, mimo przytomności przyja-

ciela, by na nią nie rzucić okiem. Poznał od razu znany mu już charakter księżniczki Jadwigi, pismo jakby pośpiesznie, wielkimi głoskami, szeroko na papier rzucone.

Był to urywek jakiś bez podpisu, bez końca, myślniby od niechcenia zanotowana.

„Miłość jest niewyciężoną, jeśli jest prawdziwą i wielką — czyni cuda... Nie ma dla niej niepodobieństwa... nie ma przepaści, którejby albo skrzydłami lub pełzając nie przebyła... Tak — choćby pełzać przyszło, i to jej nie zastraszy...

„Miłość potężna jest jak śmierć... Ludzie, imiona, względy wszelkie nikną w jej oczach. Dla dwojga kochających się nie ma świata po za nimi, nie ma prawa oprócz ich uczucia... Lecz czy mężczyzna kiedy kochać tak może? Nie, potrzeba ażeby miłość kobiety oblała go płomieniem, i ogień swój mu wsześciła. Z posągu tego musi ona stworzyć nową istotę — taką, jaką marzyła...”

W końcu stało po dwakroć coraz większymi głoskami — „Miłość wszystko może! jest niewyciężoną...”

Gdy Celestyn czytał. Michał mający wzrok dobry, choć stał trochę dalej, rzucił oczyma na kartkę, i burząc się, niespokojny, chmurny przebiegł ją także oczyma.

— Czy to pierwsza podobna włożona do książki podpałka? spytał ironicznie.

Celestyn prędko schował ją do kieszeni i nie odpowiedział nic.

Wyszli z cukierni, a że pierwszy z nich miał się dostać na Pragę, drugi szedł do miasta, musieli się

rozejść. Michał ucałował przyjaciela z wielkiem uczuciem.

— Kochany mój — rzekł poważnie, — żał mi cię niewymownie, wpadłeś w niepotrzebną, przykrą, niesmaczną kabałę. Co najrychlej ratuj się heroiczną rejteradą. Innego sposobu nie ma...

Celestyn poszedł zamyślony. Około mostu znalazł jeden z tych lichych wózków, które zwykle Żydom służą do wycieczek na Pragę, i znajomy woźnica podjął się go odwieźć do rodziców, których dworek stał dosyć daleko na małej uliczce przedmieścia.

Dworek pana Joachima Kormanowskiego, ktoby starego właściciela nie znał, starczył sam, by się w nim domysleć było można ubogiego ale o dobro swe pieczołowitego człowieka. Była to posiadłość niewielka, nieimponująca — kawał spory ogrodu i drewniany dom porządnym z przynależnościami, — ale miło było spojrzeć na to, tak czysto, starannie wszystko było utrzymane, tak wypielegnowane.

Pewno nie przez próżną chętkę pochwalenia się tem. czuwano nad małą posiadłością, gdyż domowstwo stało z boku, w uliczce bez nazwiska, kędy rzadko kto przechodził.

Pan Joachim Kormanowski, człek nietutejszy, od lat kilkunastu przesiedlił się był z Ukrainy, gdzie wielkimi dobrami możnej rodziny zawiadował i rządził lat wiele. Majętności te nagle stracili książęta, a stary ich sługa musiał przejść w świat szukać sobie nowej siedziby i chleba.

Chociaż milionami rozporządzał przez czas długi, Kormanowski, gdy przyszło wyrzec się miejsca, które zajmował, zaledwie obliczywszy się tyle znalazł zapasu, aby móżdż wyżyć bardzo skromnie i wychować dzieci. Ale — był to purytanin, jak go zwali przyjaciele i znajomi, mąż charakteru niezłomnego, odwagi wielkiej, spokoju ducha niezachwianego.

Szło mu głównie o danie synowi i córce jak najlepszego wychowania. Wedle jego zasad była to spuścizna, którą każdy ojciec powinien się był starać dzieciom zostawić, nie zbyt się troszcząc o majątek dla nich...

Pan Joachim dla syna i córki, z Ukrainy, mimo odległości, kosztów, nieznanomości miejsca, przeniósł się odważnie do Warszawy. Tu rozrachowawszy, iż życie najtaniej mu kosztować będzie, gdy kupi grunt i dworek w pobliżu miasta — wybrał sobie grunt na Pradze. Nie było to zbyt dogodnem, ale tańszem niż gdzieindziej w owych czasach.

On i żona jego pani Monika, która w męża wierzyła jak w wyrocznię — osiedli na dość opustoszonej realności, i — Bóg ich pracy poszczęścił

Dzieci dorosły, wychowały się, ogródek bardzo troskliwie pielęgnowany przynosił jakiś dochód, życie oszczędne i obrachowane dozwalało bez trwogi patrzeć w przyszłość.

Pan Joachim chociaż nierad był nikogo prosić o pomoc, ani się kłaniać nikomu, choć utrzymywał, że człowiek sam powinien był starczyć sobie, a drugim pomagać, od nikogo nie nie żądając — z dawnych swych stosunków ukraińskich pozostał w pamięci wielu znakomitych rodzin, które z jego książęty były w pokrewieństwie i przyjaźni.

Znano go jako człowieka nieposzlakowanej, aż do przesady posuniętej uczciwości, wiele więc osób zgłaszało się do niego to po radę, to dla zobaczenia go, a nawet z ofiarami przyjacielskimi; wielu go kuśiło do objęcia zarządu dóbr, ale p. Joachim czuł się starym, ciężkim i grzecznie odmawiał. Chciał czuwać nad dziećmi.

Bądź co bądź te, stosunki w świecie nie zupełnie mu były bezużyteczne.

Miło było spojrzeć na tego człowieka, który dochodził już lat siedemdziesięciu, ale tak był rzeźwy, zdrow. chodził tak wyprostowany, siły miał tyle, że niejeden cherławy młodzik mu nie sprostak. Życie pracowite, surowe, czynne zahartowało go potężnie

P. Joachim krótko niegdyś służył wojskowo. chociaż o tem nie mówił nigdy prawie. Z tych lat nominacyatu militarnego, dawno nbiegłych, zapomnianych, zostało mu coś wyjątkowego w postawie. powaga jakaś i trochę może sztywności.

Piękny to był typ starego szlachcica, bo Kormanowscy Junoszwowie byli dawną szlachtą, a choć pan Joachim się tem nie chwalił, nie zaprzeczał też, że miał i kasztelanów w rodzie. Ruszał jednak ramionami pogardliwie, gdy o tem wspomniano.

Ubogim chłopakiem, rzuciwszy służbę wojskową, jak bardzo wielu innych, dostał się na Ukrainę, szukając szczęścia w tym kraju płynącym mlekiem i miodem. Zdaje się, że po krótkiej próbie życia wojskowego, jako oficjalista pomieścił się w dobrach książęcych. Stopniami idąc, bardzo rychło oceniony, doszedł do zawiadywania kassą, kontroli. wreszcie do pełnomocnictwa i zarządu dobrami. W tej funkcji dotrwał on aż do katastrofy, która i książąt i jego z długo zajmowanej rezydencji precz wyrzuciła.

Wdzięczna rodzina pańska byłaby pewnie staremu, zacnemu człowiekowi wynagrodziła poświęcenie jego dla siebie — ale ona sama została rozproszona, straciła wszystko, nie przez swą winę.

Cios ten, który i ukochanych mu ludzi i jego samego dotknął, zniósł pan Joachim ze stoicyzmem chrześcianina, którego w nim nic zachwiać nie mogło.

Z twarzy jego poznać nie było można, że ten piorun weń uderzył. Zdał majątności, zebrał szczupłe swe mienie, i z mężstwem a wiarą w siłę własną, pociągnął do Warszawy.

On i żona zarówno, nie myśląc o sobie — chcieli dzieci przygotować do życia — dla nich gotowi byli wszystko poświęcić.

Syn Celestyn, o parę lat starszy od córki Leokadyi, od młodu okazywał zdolności wielkie. Skończył szkoły bardzo świetnie, uniwersytet ze wszystkimi honorami, jakimi on mógł obdarzyć. Niezupełnie jednak w myśl ojca poszedł pan Celestyn. Stary rad był go widzieć prawnikiem, a bodaj lekarzem, ale człowiekiem, któremuby nauka dawała chleb łatwy i sposób do życia zapewniony.

Tymczasem okazało się, że Celestyn nie miał ani powołania, ani ochoty do nauk prawnych i przyrodzonych. Zajmowała go literatura, języki, słowem właśnie te przedmioty, których praktyczne zastosowanie do życia, dla chleba — jest najtrudniejsze.

Rad nie rad ojciec zgodzić się musiał na to, by syn szedł za wskazówką własnego ducha. Celestyn więc wyuczył się języków, historii, literatury, wielu pięknych rzeczy bardzo miłych dla niego, kształcących, lecz nieotwierających innego pola nad skromne powołanie nauczycielskie.

Trochę pieszczony przez matkę, przez siostrę, a nawet przez ojca, który się do tego nie przyznawał, że dla chłopca miał słabość wielką, Celestyn wyrósł na prześlicznego młodzieńca, którego sama powierzchowność ściągała oczy i budziła sympatyę, — ale na chudego pacholka miał nadto pańską postawę, do zbytku może lubił elegancję dobrego smaku i przy spartańskim ojcu dziwnie jakoś się wydawał.

Matka i siostra napatrzeć się nań nie mogły; cieszył się nim stary pan Joachim. Pochlebiał mu może ten ładny paniczek ze krwi jego; a jednak czasem poglądając na niego, chmurą zachodziło mu czoło.

W istocie na dwoje dzieci. ów dworek na Pradze i bardzo mały kapitalik były wielce skromną spuścizną — a samemu Celestynowi potrzeba było dużo — i dotąd nie szczęściło mu się w znalezieniu trwałego. przyszłość zapewniającego zajęcia...

Nie zagrażał niedostatek, ale widoków pewnych na jutro nie było.

Celestyn pragnął rodzicom nie być ciężarem. starał się o rozmaite posady. lecz wszędzie prawie kandydatów było niż miejsc więcej. W tych czasach gdy się to działo, literatura. kto się jej poświęcał. wymagała ofiar, a nic nie przynosiła oprócz trochę rozgłosu i zaproszeń na obiady do generała hrabi Wincentego.

Młodzieniec więc musiał tymczasowo szukać sobie po prostu lekcyj języków, dozoru nad młodszymi — nimby różne plany osnowane na przyszłość ziścić się mogły.

Od roku przeszło znajomy z dawnych czasów panu Joachimowi. hrabia M., przyjaciel księżny Enfrezyi, niemal gwałtem skłonił ojca i syna, aby Celestyn podjął się dawania lekcyj historii i literatury książnicze...

Celestyn nie zawsze na noc do rodziców powracał. Jeżeli go zajęcie jakie do późna wstrzymało,

zostawał u Michała lub u którego z dawnych kolegów uniwersyteckich...

Rodzice nie mieli najmniejszego powodu niepokojenia się o niego. znali go bowiem jako zbyt szanującego się. zbyt chłodnego, aby się mógł jakiegos wybryku młodzieńczego dopuścić. Nie lubił nigdy ani zabaw hałaśliwych, ani biesiadowania, ani gry, ani hulank w podejrzanem towarzystwie. Ojciec znajdował go na swój wiek może nadto sensatem, i to go niepokoiło tylko, że jak wszyscy ludzie za młodu do zbyt ku wstrzemięźliwi — mógł później szaleć to jakimś przypłacie. I tego dnia gdy minęła godzina o której zwyczajnie Celestyn przybywał, stary pan Joachim stojący w oknie na zwiadach, odezwał się do żony, że z wieczszą na syna chyba już czekać nie ma potrzeby.

Dworek prazki, który zewnątrz tak schludnie, czysto i ładnie wyglądał, niemniej starannie wewnątrz był utrzymywany, ale z prostotą nadzwyczajną. Sprzęty, które sobie państwo Joachimowstwo przybywszy tu nabyli, niezmiennione dotąd trwały. Z lepszych czasów małe pamiątki po książętach, kosztowniejsze fraszki trochę pokoiki przyozdabiały. Lecz najbardziej stroiła je wykwićtna, wyszukana czystość, do której tu już wszyscy byli nawykli. W największym pokoju gościnnym, w którym się wszyscy znajdowali wieczorem, oczekując na Celestyna, paliła się staroświecka lampka z umbrelką na stole, przy którym pani Monika, w białym czepeczku, z gładko przyczesanemi włosami siwemi robiła pończochę. Trochę opodal stała siostra Celestyna panna Leokadya, dziewczę rysami przypominające trochę brata, ładne,

ze smutnym twarzą wyrazem, lecz niemające tego wdzięku i tej co on dystynkcyi. Były to bliźnięce natury, a jednak różne od siebie... Brat miał coś idealnego. coś prawie niewieściego; siostra powagę ojcowską i mężką energię w obliczu.

Piękność Leokadyi rzeczywista i uderzająca po rozpatrzeniu się, nie czyniła wrażenia na pierwszy rzut oka. Nie była tak promienista. i czuć było. że się ożywiająca ją dusza zamykała cała we wnętrzu, nie chcąc świata okazać.

Panna Leokadya miała w sobie coś tajemniczego, zagadkowego, — chociaż powierzchowność jej przybrana umyślnie, zdawała się pospolitą, i mało znaczącą.

Gdy p. Joachim od okna odezwał się, że już syna się nie spodziewa, matka podniosła oczy na córkę. niemi ją zapytując...

Leokadya nie odpowiedziała nic, ale spojrzała ku oknu.

— Mnie się zdaje — szepnęła po chwili — że Celestyn jeszcze może powrócić. Miał dziś lekcję popołudniową u księżniczki, która zwykle trwa do herbaty, a księżna go czasem zaprasza...

P. Joachim odwrócił się ku córce i głową potrząsł.

— Tak, zaprasza go. rzekł, ale tylko gdy gości nie ma...

Leokadya zarumieniła się nieco.

— Kochany tatku. odparła z wyrzutem, jużci Celestyn, nie pochlebiając mu, w najlepszym towarzystwie nikomu wstydu nie zrobi.

— Tak — gdyby nie wiadzano, że jest nauczycielem, możnaby go wziąć za panicza — odezwał się ojciec, — i... gdyby nie był daleko przyzwoitszym i lepszego tonu od zwykłych paniątek...

Mówili jeszcze, gdy wózek się zatoczył pod bramę, i ojciec pierwszy postrzegł i poznał ukochanego. Twarz mu się rozjaśniła.

— Otóż i on! o wilku mowa!

Leokadya żywo ku drzwiom podbiegła, które się otwarły i Celestyn wszedł, najprzód witając ją, bo mu podając ręce zastąpiła drogę. Zbliżył się potem do ojca, którego staropolskim obyczajem pocałował w rękę, i pośpieszył do matki...

Pani Monika pocałowała go w głowę, a gospodarz zawołał wesołym głosem:

— Leotko — wieczera! jam już głodny. Nie wymawiając, czekaliśmy na jegomości.

— Księżna mnie była łaskawa zatrzymać na herbatę — rzekł rumieniąc się Celestyn.

Matka, która z niego nie spuszczała oka, pierwsza dostrzegła, czy poczuła, że syn był w niezwykle usposobieniu, z chmurą na czole, z troską na licu, z jakimś niepokojem i roztargnieniem, które się ruchami zdradzało.

Nie odpowiedziała jednak nic.

Leokadya miała tę samą intuicję z pierwszego wejrzenia, i kazawszy dać wieczerzę, wróciła co prędzej, aby się rozpytać brata... Ten siadł milczący, jakby zmęczony, trąc czoło, rzucając oczyma do koła, a że zwykle starał się dla rodziców być wesół i rozrywać ich przynosząc z miasta jakieś wiadomości, —

w końcu i pan Joachim począł się w niego wpatrywać, posądzając o jakiś niesmak przyniesiony z miasta.

W drugim pokoju zastawiona była skromna wieczerza, której nigdy nie odmawiał p. Celestyn. Wstał i teraz idąc razem z rodzicami, ale w progu Leokadyi szepnął, że do wieczerzy nie siądzie, że ma robotę i chce zaraz przejść do swego pokoju.

Dosłyszał to pan Joachim.

— Cóż się to tak nasycił książeczą herbatą, że naszymi kluskami pogardzasz? zapytał go.

— Nie mam apetytu — rzekł Celestyn; — w istocie jestem trochę zmęczony.

— Lekcyami? przerwał ojciec, bacznie wpatrując się w niego, bo zawsze posądzał, iż — młodość, która ma swe prawa, musi dać uczuć siłę swą Celestynowi.

Obawiał się, aby ta godzina nie nadeszła, której się lękał.

Syn wydawał mu się dnia tego bardzo podejrzanym.

— Prawdę powiedziawszy... i lekcyami — odpowiedział po małym namysle Celestyn.

— Sądzę, że też one wprędce się bądź co bądź skończyć muszą, począł jedząc spokojniej już p. Joachim. Twoja uczennica ma, jeśli się nie mylę, ośmnaście czy dziewiętnaście lat; niepodobieństwem jest, aby się dłużej uczyć i udawać chciała wyrostka.

Spojrzał na syna, który stał, sposobiąc się do wyjścia z kapeluszem i książką pod pachą...

— Księżniczka Jadwiga, odezwał się powoli Celestyn — ma zamiłowanie w nauce...

— Powiedz fantazję czy próżnostkę—przerwał ojciec, — niewinną wprawdzie — ale wątpię, ażeby ona długo trwać mogła. Zresztą i swatać ją już zaczęła. Majątek trochę zaszargany, prawda, ale bardzo znaczny... imię piękne. Konkurenci się zjawiają. Wieść chodzi, że ją mają wydać za kuzyna Eustaszka.

Podniósł oczy na Celestyna, który zdawał się myśleć o czem innem, i nie rychło zebrawszy myśli rzekł..

— Nie słyszałem nic o tem.

— A nie widać go tam? mówił ojciec, jakby nymyślnie wstrzymując syna, by wybadać lepiej.

— W moich godzinach on nie bywa — rzekł Celestyn, — a o innych nie wiem. Księcia Eustachego widywałem gdzieindziej...

Siostra pamiętała o tem zawczasu, ażeby miał lampę przygotowaną na stoliku. Pokój był jeszcze studencki i Celestyn go zajmował od dawna. Półki z książkami na ścianach, łóżeczko, stolik długi zarzucony papierami, i ręką Leokadyi pielęgnowane kwiatki w oknach—były całą jego ozdobą.

Celestyn, który przy rodzicach twarzą swą, choć niebardzo zręcznie kłamał, wstąpiwszy na próg izdebki, w której już mógł zupełnie być swobodnym — nie spokojnie rzucił książkę i kapelusz, a sam rękami twarz i czoło tuląc, padł na łóżko. Zamyslił się głęboko. Zapomniał się tak jakoś i stracił czasu rachubę, że wchodząca po skończonej wieczerzy, siostra zastała go w tej postawie desperackiej i z twarzą straszliwie zmienioną. Nim miał czas się opamiętać, podbiegła ku niemu przelekła i ręce mu zarzucając na ramiona, krzyknęła:

— Co tobie jest! Ja od razu postrzegłam, żeś powrócił wzruszony i nieswój! Na Boga! jestem przestraszona... drzę—zlituj się... mów... Nic przecież groźnego... nic takiego, do czego? byś się przyznać nie mógł przedemną...

Z lekka odtrącił ją Celestyn...

— Nie bądźźże dzieckiem—zawołał,—nie ma zupełnie nic. Nic! miałem żywą rozmowę z Michałem. posprzeczaaliśmy się trochę... To mnie wzburzyło...

Siostra potrząsnęła głową.

— Ty! z Michałem! odpowiedziała... Za kogoż mnie masz, abym ja temu uwierzyła, żeście się wy posprzeczać mogli. i to jeszcze aż do tego stopnia... Mój drogi...

— Wy bo kobiety nie rozumiecie tego, ostro począł się bronić Celestyn, wstając z łóżka i chodząc po izdebce — że się można poważnie o zasady. o przekonania... o naukowe poglądy... Otóż...

— Ja to rozumiem, zimno wpatrując się w brata rzekła Leokadya,—ale ty—i Michał...

— To chodząca proza... zawołał Celestyn. Naizacniejszy człowiek, ale jak kamień zimny... nierozumiejący nic oprócz... tego... co w pięć palców ująć może...

Siostra słuchała z uwagą, wpatrując się razem w mówiącego, z jego pomieszaną i żywością tłumaczenia czyniąc wnioski. które ją doprowadziły do tego, że pocałowawszy brata, szepnęła cicho.

— Kłamiesz. mój najdroższy...

Celestyn zatrzymał wzrok długo na niej, nie odpowiedział nic. i—oparłszy się o stół. począł patrzeć na książki.

— Która godzina? spytał. Tłumiąc niby ziewanie.

— Odpędzasz mnie? szepnęła natrętna. Nie mam już twojego zaufania?

Brat spuściwszy oczy milczał. Dumał długo.

— Wierz mi—począł zmienionym cichym głosem,— że są rzeczy, z których się spowiadać i nie godzi i — na nic nie zdało...

— Jak to! jak to! podchwyciła żywo Leokadya — przed siostrą?? przed siostrą, dla której nie miało się tajemnic? Siostra możeby nie pomogła... to prawda, aleby choć podzieliła boleść. bo ta—jest!

Z przyciskiem wymówiła to.

Celestyn, jakby wahając się i namysłając, począł się przechadzać po izdebce, stanął przed nią, zbliżył usta do jej czoła, i rzekł z westchnieniem:

— Idź spać i bądź spokojna... Nie dopuściłem się niczego, czegobym mógł albo się wstydzić, lub żałować... Mam przykrość... to prawda...

Zamilkł... Leokadya nie rusza się z miejsca... Była pewną, że się jej w końcu serce brata otworzy.

Celestyn jakby koniecznie chciał się pozbyć upartej i czekającej na zwierzenie się jakiejś siostry, począł wypróżniać kieszenie surduta, wyjął pugilares i razem z nim schowaną kartkę księżniczki, którą nie-uważnie na stół rzuciwszy, sam się ku oknu oddalił. Oczy Leokadyi śledziły pilnie każdy ruch jego. Kartka padła otwarta na stolik, i znane zapewne pismo księżniczki Jadwigi zwróciło uwagę Leokadyi, która zbliżywszy się do stołu, zaczęła czytać, zarumieniła się i rzucając papier na stół krzyknęła.

Celestyn zapatrzone w okno, dopiero teraz zobaczywszy co się stało, podbiegł za późno, zdradzając się i papier chwytając nagle.

Leokadya, której twarz po rumieńcu szkarłatnym skryła bladłość trupa—stała osłupiała i osłabła...

W milczeniu załamała ręce przed bratem, zdawała się błagać go i czynić wyrzuty...

— Tak! tak — ozwała się cicho ze łkaniem w głosie — nie mówiłam ci nigdy o tem, alem miała trwogę i przeczucie nieszczęścia tego! O! bo to jest największe nieszczęście jakie spotkać nas mogło!

Byłam pewną, że ona nie potrafi widywać cię, żyć, mówić, uczyć się od ciebie i — nie rozmiłować się w tobie!

Celestyn milczał z głową spuszczoną. Chciał skłamać.

— Zkądże znowu to przypuszczenie. To jest wyjątek z jakiejś książki...

— Doskonale wybrany! zawołała Leokadya — i — dla czegoż tak chciał się z nim ukryć przedemną?

— Właśnie dla tego, abyś dziwacznych z niego nie robiła wniosków...

Leokadya poczuła się w końcu obrażoną.

— Niech tak będzie — odpowiedziała z goryczą — odtrącasz mnie, nie będę ci się narzucała — czyn jak ci się podoba, ale mi nie odbierzesz tego przekonania, że ona się w tobie kocha...

Większy cios nie mógł nas dotknąć.

Łzy się jej polały z oczów, zakryła je chustką, chciała odejść, gdy Celestyn wzruszony zbliżył się do niej i — szepnął:

— Tak — nieszczęście... mnie spotkało. alem niewinny...

Siedli milczący u stolika. Leokadya ocierała oczy co prędzej...

— Powinieneś się od tych lekcyj uwolnić — poczęła gorączkowo — od jutra! Powiedzieć co chcesz. żeś chory... że wyjeżdżasz...

Co ludzie powiedzą! o mój Boże!

Celestyn milczał wsparty na rękę, ona szeptała wciąż żywo.

— Ojciec i matka niepowinni ani wiedzieć, ani się tego domyslać. Ja znam ojca, jegoby to zabić mogło! Ty mnsisz się oddalić... Znajdź jaki chcesz powód, skłam. kłamstwo będzie święte. Powiedz, że cię wezwano do Wilna lub do Krzemieńca... Wszak ci tam miejsce obiecywano... Jedź. schowaj się...

Nie mogąc się od brata słowa doczekać, schwyliła go w końcu za rękę...

— A ty? zawołała... ty? nie prawda? ty jej nie kochasz? To zepsute, rozpieszczone dziecko... ty nie mogłeś się do niej przywiązać?

Ja ją widziałam w kościele, nieładna jest... ułomna...

Gdy to mówiła spotkała wejrzenie brata, które jej więcej powiedzieć musiało niż słowa — bo nagle przerwawszy mowę, krzyknęła.

Zaczęła płakać znowu... Celestyn odzyskał trochę krwi chłodnej.

— Uspokój się! zawołał — nie dałem po sobie znać, nie rzekłem słowa... Jestem niewinny...

Lecz, Leokadyo ty moja! ty nie wiesz jaką potęgą jest miłość, która pierwszy raz pada na serce nią

nietknięte i wywołuje z niego życie... Oprzeć się było nad siły...

— Milcz... milcz... przerwała siostra—dosyć...

Zerwała się z krzesła, bo w sieni kroki słyhać było... Drzwi się uchylily, i matka w nocnym czepcu, ze świecą w ręku, poczęła wołać od progu:

— Ale dosyćże już tej paplaniny! Spać! spać! Ty bo mu nie dasz nawet spocząć... Chodź bo... proszę ze mną.

Nazajutrz, rano o godzinie, w której księżna gości nie zwykła była przyjmować, nadjechał książę Larbin, a że dane były rozkazy, aby go natychmiast do pani domu zaprowadzono, oczekujący kamerdyner wskazał mu schodki prowadzące do pokoiów gościnnych, bo w tych już księżna Eufrezya wyglądała kuzyna.

Wybrała je zapewne dla tego, ażeby rozmowę poufną ukryć przed córką.

Książę już biletem odebrany przestraszony trochę, jeszcze bardziej się uląkł, gdy mu oznajmiono, gdzie nań księżna oczekiwała... Było więc coś ważnego i tajemniczego—coś nadzwyczajnego! Książę Marcin tak dobrze znał słabość swą, nieudolność, łatwe powodowanie się drugim, iż w razach podobnych doznawał niewysłowionej trwogi. Zbliżając się do księ-

żny, która w fotelu u stolika siedziała, a zobaczywszy go zerwała się z niezmierną gorączką i ruchami konwulsyjnymi—książę Marcin stracił zupełnie przytomność.

Twarz, postawa gospodyni domu wprawiły go w większe jeszcze zwątpienie. Nie pojmował co się stać mogło, lecz czuł, że piorun jakiś miał spaść na niego... Szedł jak na ścięcie...

Księżna zaniósła się przy powitaniu spazmatycznym łkaniem.

— Siadaj! słuchaj! poczęła — ale jakże ja ci to opowiedzieć potrafię. Głowę straciłam...

Książę Marcin słowa nie znalazł nawet na ulgodzenie wybuchu... Drżał jak liść.

— Wiesz! zawołała chwytając go za rękę—wiesz—moja Jadzia! Jadzia... zakochana... śmiertelnie w tym podłym Antynousie, którego ja miałam... nierozum wziąć do niej za nauczyciela...

Książę słuchający z największą uwagą, w początku zdawał się nierozumieć... Naprzód Jadzię uważał on dotąd za dziecko... powtóre, jakże mogła osoba tak wysoko urodzona do tego się stopnia zapomnieć...

Po chwili zamyslenia — książę uderzył ręką w stół...

— Więc natychmiast precz z nim! nie dokończył jeszcze, gdy księżna za rękę go drapieżnie szarpać zaczęła i zawołała:

— Ona umrze! ona mi to śmiała powiedzieć! Ja tego nie przeżyję... Dziecko moje jedyne!

Łzy się z oczów puściły, a książę Marcin osłupiał...

Dalej już ani wiedział, ani mógł się domysleć co począć wypadało...

Wezwany do rady — okazał się tak przygnębionym — tak nieszczęśliwym, że litość brała nań patrzeć.

To, coby był mógł poufnie doradzić, było tak poczwarnem, iż nie śmiał się z tem odezwać. Inszego wyjścia nie widział.

Księżna płakała i spazmowała. Nie było sposobu rozwiązania zadania.

Po raz to pierwszy nieudolność tego opiekuna, którego sobie wybrała z tą myślą, aby jej nie był w niczem przeszkodą: dała się uczuć dotkliwie, książę Marcin był doskonałym i wygodnym do podpisywania, do potakiwania, do pochwalania co księżna Eufrezya mieć chciała—lecz w chwili jak ta na nic się nie zdał.

Ze spazmatycznego łkania i rzucania się księżna przeszła nagle w jakieś usposobienie rozpaczliwe.

— Ale przecież—to nie może być! Jadzia jest nadto rozumną. Ona wie, że taka głupia miłość dziecinna do ni zego nie prowadzi...

— Naturalnie—nie prowadzi—potwierdził książę.

— A wczoraj mi wręcz odpowiedziała, że jeśli go odprawię—umrze!

Księżna zakryła sobie oczy, łkanie słyszeć się dało.

Książę Marcin zebrał się przecież na słowo pociechy.

— Kuzynko dobrodziejko, rzekł, — to się tak mówi... Nie zna ani świata, ani własnego serca, nawykła do powolności z twej strony...

— Ale ja ją znam—wtrąciła księżna gwałtownie—uczucia ma nader żywe, przekonać i pokonać ją trudno. A... uchowaj Boże nieszczęścia — ja nie przeżyję tego, ja jedną mam tylko.

— Nie trzeba brać tak na seryo—dodał kuzyn.

Księżna chodziła zamyślona wzdychając i jęcząc. chwytając się za głowę.

Księżę Marcin szukał w swojej, coby mógł przeciw jako opiekun poradzić łagodzącego, a niezbyt radykalnego. Zebrał się na ciche słowo.

— Wie kuzynka co? rzekł — Jadzia przez osamotnienie wpadła w tę nienaturalną dla młodej panienki fantazyę uczoności. Trzeba ją wprowadzić w świat i świat wpnieć do domu. Rozrywka będzie najlepszym lekarstwem...

Tu księżę się zawahał i zarumienił, gdyż był zmuszony dotknąć struny bardzo delikatnej, a lękał się, żeby ona w oczach matki nie zabrzmiała zbyt rążaco. Pocał, głos zniżywszy:

— Są, kochana kuzynko takie temperamenta, to rzecz wiadoma... krew... wyobraźnia żywa, które tylko doknięcie... w rzeczywistości może uspokoić. Najlepiejby było wydać za mąż.

Księżna wykrzykiem zaprotestowała...

— Nierazemy mówili o tem, dodał nieśmiało ks. Marcin,—że Eustaszek byłby dla niej bardzo stosowną partyą. Kuzynka nie byłaś przeciwko temu.. Eustaszek za mało bywa, należałoby go zachęcić, pociągnąć. a ja to z chęcią wezmę na siebie...

Matka słuchając tego wniosku, dała pewny znak przyzwolenia.

— To nie zła rada—odezwała się,—wcale nie zła... Ale Eustaszek jest bałamut, trzpiot, lekki.

— Ale — c'est la coqueluche des toutes ces dames—rzekł kuzyn.

— Jadzia choć młoda jest bardzo seryo — odparła księżna... o ho!

— Ale się jej może podobać, ładny chłopiec...

Księżna westchnęła.

— Tak, ładny, rzekła — prawda, ale ma coś lalkowego, fizygnomia bana le, nie wytrzyma porównania z tym łajdakiem panem Celestynem...

Podniosła pięści ściśnięte do góry...

— Nie ma jednak innego ratunku — dodała śpiesznie: — przyprowadź Eustaszka, niech częściej, niech codziennie bywa. Przecież krewni jesteście... Zrób mi nadzienie...

Zamyśliła się ks. Eufrezya mocno, i mimowolnie wyrwało się jej z ust:

— Gdy za mąż wyjdzie?

Nie kończąc, ręką zamachnęła...

Ks. Marcin, któremu ta mniemana narada ciążyła. chcąc się co rychlej uwolnić, jął się kapelusza — księżna mu go odebrała.

— Na Boga, czegoż bo się tak śpieszysz?...

— Bobym chciał dziś jeszcze przyprowadzić wieczorem Eustaszka, a złapać go i namówić niełatwo. Te panie go psują. Ma zawsze zaproszeń do zbytku.

Księżna nie sprzeciwiała się już odejściu doradcy, lecz przeprowadziła go do drzwi...

— Kochany książę — szepnęła chwytając go za rękę; jesteś człowiekiem honorowym! Zwierzyłam ci

się — jest to tajemnica domowa, nie daj poznać po sobie! nie wygadaj się!

Marcin zaprotestował oburzony, pocałował w rękę gospodynię, i co najrychlej oddalił się, winszując sobie, iż mu się tak szczęśliwie i prędko wymknąć udało.

Księżna po tem tajemnem posłuchaniu, które pragnęła przed córką utaić, przemknęła się zaraz do swoich pokojów.

Księżniczka, o którą się wprzód już matka dowiadywała — i powiedziano jej, że dopiero zasnąwszy nad ranem, odpoczywała jeszcze — już była wstała.

Nie dając po sobie poznać niepokoju, udając jakby zapomniała o tem co wczoraj zaszło, matka z uśmiechem weszła do appartamentu córki.

Był to w istocie cały appartament, jaki rzadko miewają panienki. Pieszczone dziecię urządziło go sobie wedle fantazyi własnej z wielką elegancyą, zbytkiem, z wyszukanemi dogodnościami.

Duży salon zawierał wiele prześlicznych kwiatów, wspaniały fortepian organek, stół okryty ciężkim dywanem i mnóstwem książek. Oprócz tego wspinała rzeźbiona szafa gdańska stara, przerobiona na rodzaj biblioteczki, zdobiła ścianę jedną. Od ogrodu drzwi łączyły salon z zimową szklarnią, w środku której był mały wodotrysk, i śliczny, choć nieco pospolity posąg wyobrażający milczenie, z palcem na ustach.

Za salonem tym był gabinet jeszcze, w którym zwykle odbywały się lekcye, cały i wyłącznie poświęcony nauce. Ściany jego prawie wszystkie okrywały szafy z książkami, a wielki stół w środku zarzucony był niemi.

Dopiero za nim następowała sypialnia księżniczki, jak gniazdko ptaszyny wysłana kobiercami, osłonięta, ogrzana, z łóżeckiem pawilonami białymi podbitymi niebiesko osłonięta. z lampą nocną u sufitu. z kominkiem na którym zegar brązowy stary z przy należytościami. wystawiał jakąś scenę mitologiczną.

Księżniczka miała jeszcze osobną gotownię i pokoik. w którym nieodstępna sypiała sługa.

Księżna matka obchodziła się daleko mniejszem mieszkaniem dla siebie, lecz jednemu dziecięciu chciała by było w domu jak w raju, i — jedno ku czemuś westchnienie starczyło, aby nazajutrz Jadzia miała czego zapragnęła chwilowo, czasem zapomniawszy natychmiast o fantazyi. która jakby cudem natychmiast się ziścić musiała.

Tak powstał przy salonie ten ogródek zimowy z palmami i wellingtonią — i fontanna w nim i biały posąg — tak przybyły tu wszystkie ozdoby, których dziecięciu niekiedy się zachciewało...

Matka zastała swą drogą Jadzię w salonie przy śniadaniu i nad książką. ale bez apetytu do kawy i bez zajęcia lekturą. siedziała bledsza niż zwykle, podparta na ręku, mizerna, z oczami podbitymi, co matkę niewymownie przeraziło, ale postanowiła być wesołą i usiłować ją rozruszać.

Weszła więc żywo, uściskała ją, zaszczebiotała o rzeczach obojętnych, ucałowała powtórnie, spytała czy nie ma ochoty się przejechać?... Czas był piękny bardzo.

Jadzia wzruszyła ramionami obojętnie, i na pytania odpowiadając bardzo chłodno — zaręczyła matce, że woli pozostać w domu, będzie czytała...

- - Bylebyś się nie męczyła tem czytaniem do zbytku — rzekła księżna. Ja uwielbiam to twoje pragnienie mądrości, ale młoda, potrzebujesz ruchu, powietrza, rozrywki...

Księżniczka ramionami poruszyła. Matka zagadła o czem innem. Ażeby okazać, że jej rozmowa ta niebardzo była do smaku, Jadzia nie zważając na przytomność księżny, wzięła książkę ze stołu i czytać ją zaczęła...

— Było to znakiem dla matki, że — oddalić się może...

W razie gdy do tego była zmuszoną, księżna w dozorze nad ukochaną wyręczała się tą panną Klarą, która i przy lekcjach miała siadywać obowiązek, i nieustannie tuż, pod bokiem czuwała nad księżniczką.

Była to stara... przyjaciółka domu, do którego weszła bardzo za młodu, i w którym zwiędła, przebywszy wiele cichych przygód, zawodów, zakończonych smutnem panieństwem bez nadziei. Milcząca, rozważna, łagodna, doskonale znająca z długiego doświadczenia i samą księżną i Jadzię, co się przy niej i pod jej dozorem wychowywała, panna Klara była cierpliwością samą. Mówiła mało, umiała znosić wiele i nawet ta straszna niewola, która do późnej nocy rzadko jej na chwilę odetchnąć dozwalała, zdawała się jej nie ciążyć. Zrezygnowana, spokojna, była prawdziwym skarbem dla księżny, która pomimo to wcale dla niej czułości nie okazywała.

Jadzia wprost znajdowała ją — nudną i głupią. Rzadko raczyła się nawet do niej odezwać, ale posługiwała się nią chętnie.

Panna Klara miała ten wzrok bystry starych biednych panien, który wszystko przenika łatwo, i najdoskonalej знаła co się działo, co się myślało w domu. Niewyzywana jednak, milczała o tem.

Cały stosunek księżniczki do Celestyna i przebieg tej miłości, która się poczęła od tego, że dziewczę uraziło się obejściem z nim jak z dzieckiem — cały ten romans wywołany przez Jadzię, w którym imaginacya i głowa większą grały rolę niż serce — był pannie Klarze lepiej może znany, z najdrobniejszymi szczegółami, niż obojgu młodym...

Wygmana do salonu w czasie lekcyj, siedząc z dala ze swą robotą, chwytiała słowa, wejrzenia. ruchy — i wiedziała za wczasu, iż to się może skończyć czemś dla domu niemiłym.

Dawała nawet pół słówkami do zrozumienia o tem matce, która wcale nie chciała nic podobnego przypuścić.

Spełniwszy obowiązek, panna Klara. westchnęła i — zamilkła.

Teraz dopiero przypomniwała sobie księżna ostrożne napomknienia starej sługi. Wygmana grzecznie przez córkę, księżna skinęła na pannę Klarę, aby szła za nią.

W kątku przedpokoju wybadała ją naprzód jak dziecię kochane noc spędziło — potem z westchnieniem poczęła coś szeptać, i ze łzami uściśnęła Klarę.

Dzień szedł jak zwykle. Jadzia spędziła go w swoim mieszkaniu, przechadzając się, nad książkami, które brała i rzucała.

Kilka razy siadała pisać i chowała starannie co na papier rzuciła — parę razy wysnęła się do ogrodu.

W godzinie obiadowej wyszła czarno ubrana do matki, mało mówiąca, zadumana. jadła niewiele, patrzyła w sufit — i po kawie cofnęła się znowu do siebie.

Dnia tego lekcji nie było. W godzinie herbaty, oznajmiono księżniczce, że matka jej prosi do salonu.

Przynoszącą tę wiadomość, pannę Klarę, zapytała, czy są goście?

— Księżę Marcin i ks. Eustachy — odpowiedziała panna.

Przy wzmiance o ostatnim brwi księżniczki się ściągnęły i usta pogardliwie skrzywiły. Chociaż matka wyraźnie jej nigdy nie mówiła o swych projektach, bardzo domyślna Jadzia dobrze o nich wiedziała. Było to dostatecznem, aby wstąpić do Eustasza, którego znajdowała dla siebie — wcale nie stosownym. Jak wielu innych księżniczka i jego nazywała — głuptaskiem.

Wyższość umysłowa w tej dobie życia panny Jadwigi była warunkiem niezbędnym, by zwróciła uwagę na mężczyznę.

Im powszechniej chwalono tego przyjemnego wietrznika, jakim był Eustaszek, tem księżniczka bardziej go lekceważyła.

Dnia tego przybycie jego, po wczorajszem starciu z matką, wydało się jej podejrzanem. Przygotowała się więc za wczasu na przyjęcie tego, którego uważała za pretendenta skrytego, w sposób mający mu obrzydzić konkury i od nich odstręczyć.

Nim wyszła do salonu, twarzyczka jej ożywiła się nadzieją walki, i usta sarkastycznie uśmiechnęły się pewnością zwycięstwa.

Ukazanie się księżniczki zdziwiło matkę, która się spodziewała nadąsania, a niezmiernie ucieszona, znalazła córkę w usposobieniu — prawie wesołem.

Mówiliśmy już o ks. Eustachym. Był to blondynek ładny, zręczny, trochę zaswobodny w salonie, pewien siebie, wesół, umiejący grać ze wszystkich tonów wymaganych i nadzwyczajnej wirtuozyi w towarzystwie. Od bardzo młodego wieku puszczony na slizkie posadzki salonów, książę nabrał takiej wprawy w obejściu się z ludźmi, szczególnie z kobietami, do których szczęście miał wielkie — iż z najzawikłańszych kollizyj wychodził zawsze zwycięsko...

Twarzyczkę miał mało mówiącą, ale pięknych rysów, jasną, niby dobroduszną, oczy duże niebieskie, usta miłego wyrazu. Tuzinkowy dowcip, który się nabywa kawałkami, a potem składa jak kastecik, służy mu na dni powszednie bardzo wystarczająco.

Książę na prawdę mało się uczył w życiu, a miał wielce — chwytac w powietrzu ulatającą mądrość, wiadomości, i cudnie umiał je znżytkowywać...

W istocie był zupełnym nieukiem — lecz i ludzie o tem nie wiedzieli, i on był pewien, że się z tem nie wyda.

Z żywością wielką i grzecznością nadskakującą, Eustaszek zbliżył się do kuzynki. Liczył się bowiem do kuzynów... ale w tym stopniu, który do ołtarza nie jest zawadą.

Panna Jadwiga przyjęła go zrazu tak zdradziecko dobrze — iż nabrał otuchy. Stał się prawie zu-chwałym. Księżniczka go wyzywała; wygadywał się nadzwyczaj śmiało i stanowczo...

Już się był tak rozpędził, a matka z rozkoszą przysłuchiwała się rozmowie, prowadząc niby po cichu drugą z ks. Marcinem, aby młodym zostawić swobodę jak największą, gdy księżniczka paplaninę zniecierpliwiona; nagle zwróciła zrećznie rozmowę ku przedmiotom naukowym...

Z literatury — Eustaszek znał tylko to co było modnem, leciuchnem i chodziło po salonach...

Były to właśnie lata, gdy we Francyi rozpoczynała się walka szkoły nowej ze zbutwiałym klasy-cyzmem. Zajmowała ona umysły i u nas, bo się też wkrótce, choć w inny sposób, odbić miała we własnej naszej literaturze.

Panna Jadwiga żwawo poczęła naciskać na księ-cia pytaniami w przedmiocie, który był dla niego tak jak obcym.

Nawet imiona szermierzy nowych, głośne we Francyi — księciu po większej części były nieznanne.

Księżniczka która się przygotowała może za wcześniej z erndycją nietylko francuzką, ale co gor-sza niemiecką, tak poczęła nacierać na kuzynka — iż

nie mógł już inaczej się ze swej niewiadomości wytłomaczyć, tylko w żart obracając uczoność.

— Przyznaję się kuzynce — rzekł z uśmiechem wymuszonym, — że w tych przedmiotach mało jestem biegły... Lubię bardzo poezję i literaturę w ogóle, ale od czasu jak mnie wir życia pochwycił, zajmuję się niemi mało...

— Lecz lubiąc poezję — odparła Jadwiga, — niepojmuję jak ją można zaniedbać... kuzynek przynajmniej musisz choć nieśmiertelnych klasyków znać dobrze... Co mówisz o Dantem?

Dantego imię zaledwie było znane ks. Eustaszewi.

— A! podchwycił przypominając coś sobie. Tak! Dante! Piekło!

Jadzia się uśmiechnęła.

— Nietylko Piekło — przerwała patrząc nań z góry. Czyściec i Raj są może piękniejsze jeszcze... Wolisz zepewne Homera?

Kuzyn spojrzał na nią, jakby błagając o litość — nie odpowiedział nic.

Księżniczka była Nielitosciwą. Poczęła zachwalać Goeth'ego i unosić się nad nim; wspomniała o Herderze... przeskoczyła potem do V. Hugona i Lamartine'a...

Szczerściem książę znał Medytacye i coś o nich powiedzieć umiał, pochwyconego od drugich.

Jadzia natarła nań zaraz, i po wymianie kilku słów. zmusiła go do milczenia. Wyczerpał się rychło...

Bardzo prędko pobity — Eustaszek stracił pierwszą swą śmiałość i wpadł w humor niedobry.

Zręcznie dosyć zaczął próbować czy mu się nie uda rozmowy sprowadzić na grunt inny, lecz Jadzia była nieubłagana.

Wszystko to czem zwykle wojował w salonach młody paniczek, tu na nie mu się przydać nie mogło. Wtrącił coś z plotek miejskich, lecz panna nie dając mu dokończyć oświadczyła, że to jej nie obchodzi wcale.

Matka śledząca nieszczęśliwy przebieg rozmowy uląkwszy się o swego protegowanego, musiała się do niej wmieszać sama, aby go wyratować. Naówczas panna Jadwiga z sarkastycznym uśmiechem, zasunęła się w głąb kanapy. założyła ręce i gryząc kwiatek w ustach, swoim zwyczajem poczęła na sufit spoglądać.

Eustaszek trochę śmiałości odzyskawszy przeszedł do herbaty, lecz w głębi duszy darować nie mógł kuzynce, że się na nim nie poznała i — tak zły smak miała.

Przy herbacianym stole, śmiała panna Jadwiga wystąpiła z formalnym pozwem przeciw młodzieży męskiej, bawiącej się kołnisi, tańcem, grą — wszystkim. oprócz tego co było poważnem i męczyzny godnem.

Ks. Marcin słuchając truchlał.

Kuzynek pozwolił sobie stanąć w obronie rodzaju męskiego i swych rówieśników dowodząc, że właściwie nauka, jak inne powołania. jest rzeczą pewnej klasy — a dla ludzi du m onde. jest dosyć polorn...

— Za zielone dla was te winogrona — odparła Jadzia — i dla tego gotowicie oddać innym. Ja, przyznając się — dodała głośno i dobitnie, — nie mogłabym nigdy na seryo wziąć męczyzny, którego by zadania

wieku najwznioslejsze. zaprzatające umysły wielkie, nie obchodziły i były mu obce..

Zmieszali się tem nietylko książę Eustachy, ale matka, która wymieniała spojrzenia z ks. Marcinem...

Młody gość widząc, że już nie ma nic do stracenia, żartować począł.

— Kochana kuzynko—odpowiedział głowę przed nią skłaniając —przynaję ci szluszność co do nas biednych nieuków; lecz pozwól sobie powiedzieć, że o ile nauki brak może nam uwłaszczać, o tyle jej zbytek w kobiecie bywa...

Jadzia się zaczerwieniła: książę urwał nagle.

— Mieję odwagę dokończyć, dodała miałaś ochotę powiedzieć — śmiesznym? Tak?... Więc wolę być śmiesznią niż—głupią—dołożyła po faucuzku (*J'aime mieux être ridicule que bête*).

— Przepraszam, wtrącił już na swoim gruncie będący Eustachy—śmieszność zabija.

— Tak—tych co są słabi jak muchy — odezwała się panna Jadwiga. Wiesz książę *que du sublime au ridicule...* Śmiać się i wyśmiać się można wszystko, nawet Boga i religię; ale to nie jeszcze gdzie roznemu brakuje...

Zarumienił się kuzynek...

Księżna matka siedziała jak na szpilkach.... Wtem Jadzia, jak gdyby litością tknięta nad gościem, z uśmiezkim szyderskim rzekła głośno:

— No—kuzynku — dosyć już tej polemiki bardzo nie w miejscu; mów nam o ostatnim balu hr. Krysztofowej, będziesz w swoim żywiole...

Dotknięty do żywego Eustaszek, udając że nie zrozumiał, chwycił temat podany, i z werwą, której

mu gniew dostarczył, począł opis komiczny balu, który miał w istocie obfitować w bardzo ciekawe epizody...

Jadzia założywszy ręce, rozparta słuchała z uśmiechem pogardliwym.

Kiedy niekiedy Eustaszek rzucał na nią okiem i mieszał się. spotkawszy wejrzenie pełne wyższości, politowania, niesmaku i pogardy.

Krew biła mu do głowy—lecz musiał dotrwać do końca, wysypać co miał rakiet i bukietów, udając jak gdyby wcale się pobitym nie czuł. Jadzia zresztą płacąc za ostre słówka, któremi go skarciła, przysługiwała mu się herbata. przysuwała ciastka, była grzeczna jak dla dziecięcia.

Znaczenie całej tej utarczki, szczególnie dla matki było wielkie i — bolesne. Zrozumiała ona, że została odgadnięta i — pobita; że córka tego nic nieznaczącego salonowego panicza odprawiała. aby jej pokazać, że się na podobny lep nie da złapać..

Wieczór skończył się ostygnięciem rozmowy, znużeniem, i ks. Marcin. który, choć niejasno, widział. że się Eustaszkowi nie powiodło, trochę wcześniej niż zwykle go wyciągnął.

Zaledwie znaleźli się w ulicy, gdy Eustaszek ziewnąwszy szeroko, zagadnął opiekuna:

— Z Jadzi zrobiło się coś — prawdziwie politowania godnego!

— Jak to? jak to? przerwał Marcin.

— Pedantka i sawantka! nieznośna...

— W istocie bardzo uczona, ale to nie przeszkadza...

— Owszem to przeszkadza bardzo, aby kto niebiegły w tych wszystkich pięknych rzeczach, które ona udaje, że umie i zgłębia — mógł się do niej posuwać. Kochany kuzynie — gdyby miała nie jeden, ale cztery klucze Zabiskie.

— Och! och! przerwał Marcin...

— Mnie do tego domu ani czterema parami wołów nie wciągniesz... Admiruję ją, ale w tym jej papierowym rozumie nie sposób mi się zakochać...

— Och! och! powtórzył księżę.

I tak się rozstali...

Trzeciego dnia potem przypadała lekcya pana Celestyna u księżniczki. Przygotowania do niej, nie uszły ani oka matki, ani bystrego wzroku panny Klary. Z wieczoru Jadzia była ożywiona i wesoła. a rano wstawszy nie mówiła o niczem tylko o lekcyi i nauczycielu.

Zdawała się nawet naumyślnie go przypominać przy matce, która zagryzając usta i szarpiąc chusteczkę, milczała.

Tymczasem około południa przyniesiono list do księżny matki. gdy córka była w salonie... Nie zwra-

cała ona na niego uwagi, dopóki nie zobaczyła, że ks. Eufrezya rzuciła się na kanapie, drgnęła, i zerwawszy się z niej żywo — siadła — widocznie rażona odebraną wiadomością.

Przychodziło to tak niespodzianie, tak nieprzygotowanie, iż księżna straciwszy głowę, zawołała głośno:

— Słowo honoru! jam temu niewinna!

Uderzona tym wykrzyknikiem Jadzia, która miała albo raczej przywłaszczała sobie pozwolenie czytania co się jej podobało — pochwyciła list w rękę... zaczęła drżeć, zbladła i z krzykiem dziwnym osnuęła się na krzesło zemdlona...

Spostrzegłszy to księżna, o mało nie padła też z przestachu, chwyciła dzwonek ze stolika, i tak gwałtownie poczęła wołać na pomoc, iż co żyło w domu się zbiegło... Panna Klara, kamerdyner, pokojówki, matka otaczali omdlałą, którą cucić poczęto wszelkimi środkami zawsze będącemi pod ręką, gdyż księżniczka skłonna była do podobnych wypadków, które przybierały czasem znamiona epileptyczne...

Ks. Eufrezya starała się dla tego zapobiegać wszelkim gwałtowniejszym wzruszeniom dla Jadzi — bo po każdej kryzys tego rodzaju, następowała słabość, której lekarze unikać polecili.

Gdy po długiem odcieraniu, kropieniu, poddawaniu do wciągania różnych rzeźwiących zapachów, księżniczka nareszcie otworzyła oczy — nie mogła się podnieść o swej sile, i kobiety wzięwszy ją na ręce musiały zanieść na łóżko...

Matka we łzach szła za nią... List, na który panna Klara rzucić okiem czas miała, bo leżał na zie-

mi u nóg omdlałej, zawierał grzeczną wymówkę pana Celestyna, iż z powodów nieprzewidzianych, a od woli jego niezależnych, będzie musiał zaprzestać udzielania lekcyj. Dziękował on za wszystkie względy, jakich doznał w domu księżny, i — polecał się zimno a grzecznie łaskawej pamięci.

Księżniczka chociaż odzyskała przytomność, leżała z oczyma osłupiałemi, bezmowna, blada jak trup; chwilami tylko spazmatyczne drgnienie zdradzało w niej grę myśli... i uczuć. Czoło miała zmarszczone groźnie. nsta zacięte, a zwykle starszą się nad wiek swój wydając, teraz coś chorobliwie straszego miała w rysach zmienionych. Matka i panna Klara, odprawivszy sług resztę, krzątały się koło niej w milczeniu, bo księżna lada słowem niebacznem obawiała się burzę i nowy attak wywołać.

Lekarz, po którego już dwóch posłańców pobiegło, nie przybywał.

Od dawna w domu tym znany doktor Land. er. oswojony był z wypadkami podobnemi, i jemu jednemu biedna matka zwierzyć się mogła ponfnie. mówić z nim otwarcie. Był on przyjacielem, dla którego nie miano tajemnic. Jako człowiek ze wszech miar zacny, dr. Landler jako lekarz, nawykły do chorób wielkiego świata, które są w połowie chorobami imaginacyi, miał tę wadę, że je lekceważył. Nie dawał tego znać po sobie; lecz — może miał słuszność w znaczniejszej części — leczył je środkami obojętnemi, dając działać czasowi i tej wyobraźni, która słabości rozpieszczonych tworzyła.

Prawie zawsze pacyenci czynili z nim co chcieli, dozwalał im czego zażądali, sprzeciwiał się jak naj-

mniej. Lubiono go bardzo, gdyż oprócz sławy swej doktorskiej był w towarzystwie człowiekiem miłym. i muzyką się zabawiał, którą namiętnie choć dość nieszczęśliwie uprawiał.

W ciągu dnia trudno było znaleźć dr. Landlera w domu, i tym razem dwaj posłańcy z niczem powrócili.

Panna Jadwiga leżała ciągle w takim stanie osłupienia. gdy nagle jakby rzucona siłą jakąś piorunową. zerwała się, siadła. powstała. Oczy jej zwróciły się ku matce... panna Klara przewidująca scenę, której nie powinna była być świadkiem — wymknęła się natychmiast...

— Mama więc chce, abym umarła! zawołała Jadzia... Rozumiem dobrze co ten list znaczy. Dano odprawę Celestynowi... Mówiłam wczoraj mamie: — jeśli go widzieć nie będę — umrę!

Ze złożonemi rękami ks. Eufrezya stała przed nią.

— Dziecko moje! krzyknęła — słuchaj — przysięgam ci na wszystko, co jest najświętszego — nie jestem winna temu co się stało — nie wiem nic — na Boga! na krzyż. na Ewangelię ci przysięgam!

Jadzia popatrzała na matkę. płacząc rzuciła się na łóżko, odwróciła, zakryła twarz i szlochaniem jej tylko słychać było...

Zaczęta rozmowa skończyła się na tem. W chwilę później księżniczka zawołała, aby jej list Celestyna podano... wzięła go w ręce drżące. odczytała milcząc raz i drugi. i potargany rzuciła na ziemię.

Matka płakała...

Sama nie wiedziała jak radzić. Niepodobna jej było posyłać po Celestyna i prosić go, — krok to był upokarzający, kompromitujący, niemożliwy. Sądziła, że może ofiarą tej kryzys i cierpienia pozbędzie się z domu niebezpiecznego gościa. Czekala doktora; księżę Marcin, choćby był wezwany, wiedziała, że jej nie oprócz kondolencji nie przyniesie.

Jadzia pozostała nieruchoma na łóżku. nie chcąc ani spojrzeć. ani się odezwać do matki.

W kilka godzin dopiero nadbiegł niespokojny dr. Landler. Matka wyszła na jego spotkanie do pierwszego pokoju.

— Nowa kryzys — zawołał całując w rękę księżnę Landler, który miał powierzchowność człowieka wielkiego świata i był wcale pięknie zakonserwowanym średnich lat mężczyzną. Nowa kryzys, spowodowana pewnie jakąś fraszką!

Księżna nie chciała się zwierzyć całkowicie.

— Na ten raz, kochany konsyliarzu, nie była to fraszka, ale przykrość — wypadek... fantazyja, która boję się aby niełatwą nie była do zwyciężenia.

— Nie mogę wiedzieć co to było! szepnął bacznie wpatrując się w matkę dr. Landler.

Księżna się zamysliła.

— Doktor, rzekła, jest, tak dobrze jak spowiednik obowiązany do tajemnicy, szczególnie gdy niebaczne słówko może fałszywe wykłady ściągnąć...

Landler się skłonił, księżna zbliżyła się do niego.

— Jadzia się po dziecinnemu przywiązała do profesora, który dawał jej lekcye — rzekła... Odebra-

liśmy list, że zmuszony jest się oddalić; to ją tak dotknęło...

Doktór spojrzał bacznie w oczy księżny, która niespokojności swej ukryć nie umiała...

— Fantazya! dziecinna? podchwycił bardzo cicho. Mówmy otwarcie, mościa księżno... panna Jadwiga ma lat ośmnaście. .

— Ale jest dziecinną.

— Jest nadzwyczaj na swój wiek rozwiniętą i mny-słowo i uczuciowo i... co do temperamentu... mówił doktor. Któryż to professor?

Księżna się zawahała...

Nierychło szepnęła nazwisko jakby zmuszona. Znał go doktor, i poruszył głową marszcząc się.

— Chodźmy do chorej — rzekł sucho. Spodziewali się zastać ją leżącą z głową zakrytą. tak jak ją matka porzuciła. Jadzia siedziała już na łóżku, z włosami rozpuszczonemi, blada, oczy wiepiwszy w podłogę. jakby zdębtwiała. Niezmierna boleść malowała się na jej twarzy...

Wejście doktora, którego kroki posłyszeć i poznać mogła, nie zdawało się na niej żadnego czynić wrażenia — nie poruszyła się nawet. Dr. Landler podszedł bliżej, powoli ujął ją za rękę — lecz księżniczka cofnęła mu ją natychmiast. Siadł poczynając badać łagodnie...

— Znowu jakaś nieostrożność, rzekł do niej...

— Nie — odparła sucho, nie patrząc na niego; ale wielka. bardzo wielka przykrość. Tym razem — do-dała — nie tak łatwo mi będzie przyjść do siebie. .

Landler pomyślał trochę.

— Ja. po energicznym charakterze pani, który znam dobrze. spodziewam się więcej — rzekł łagodnie. Życie nie może być przy najczulszej opiece zabezpieczone od wypadków. od przykrości... księżniczka wie to dobrze i wymoże na sobie.

— Są boleści silniejsze nad wolę człowieka — rzekła śmiało panna Jadwiga...

Doktór się zdumiał; pojął, że rozmowy dalej niepodobna prowadzić.

— Pozwoli mi pani puls zobaczyć?

Obojętnie księżniczka wyciągnęła rękę — oczy jej ciągle wlepione były w podłogę.

Po chwili Landler wstał, i nie mówiąc, poszedł receptę zapisać... Matka i on poszeptali z sobą — oddalił się z grzecznem pożegnaniem.

— Doktorze! szepnęła księżna przy rozstaniu, kładąc palec na ustach — doktorze...

Z uśmiechem przyciskając białą swą rękę do piersi, na znak, że mu zaufać było można. Landler wyszedł z twarzą, która aż do progno zachowała się wypogodzoną... Za drzwiami zachmurzył się i zadumał.

Przyniesionego lekarstwa księżniczka, pomimo zaklęć i próśb matki, brać nie chciała. Prózne były nalegania na klęczkach...

— Żadne lekarstwo mi nie pomoże — odezwała się sucho...

Wieczór i noc przeszły w trwodze, czuwaniu, a stan księżniczki nie zmienił się wcale. Milczała, pokładała się, zadumywała, płakała, a na zapytania i pieszczoty matki odpowiadać nie chciała wcale.

Ponieważ nie pogorszyło się widocznie, księżna nabierać zaczęła otuchy, iż cierpienie samą naturą swą z czasem złagodzi się, i — wielkie zadanie pozbycia się niebezpiecznego dla Jadzi człowieka, okupione kilku dniami trosk, szczęśliwie rozwiązane zostanie.

Doktór, który przybył nazajutrz, nie znalazł nic nowego, nastawał tylko na jakiś środek uspakajający, który zapisał — i odszedł potakując nadziei księżny — iż choroba sama przez się przesili się i przejdzie...

Trzeciego dnia jednak księżniczka z łóżka nie wstała, osłupienie się zwiększyło, przyszła gorączka, doktor zmienił lekarstwo, i — nie tał, że się to przeciągnąć może.

Stanu biednej matki, na przemiany nabierającej nadziei i śmiertelną trwogą drżącej — odmalować niepodobna... Przywiedziona była prawie do rozpaczy; ale jedyny ratunek — przywołanie napowrót nauczyciela — był uznany za niemożliwy.

Wezwany dla roztargnienia raczej, niż dla rady, ks. Marcin podzielał zdanie matki, iż — bądź co bądź pozbyć się było potrzeba tego człowieka.

Upłynął tydzień. Chociaż choroba rozwijała się powoli, postęp jej jednak był bardzo widoczny; księżniczka nie wstawała z łóżka, chociaż sama kilkakrotnie próbowała. Siły ją opuszczały, mdlała. Nocami pan-na Klara słyszała ją płaczącą, mówiącą do siebie i z przerażeniem kilkakrotnie rozeznała wyrzeczone słowo: — umrzeć.

Doktór Landler tłumaczył się z nieskuteczności swych leków tem, że na cierpienia moralne, na przypadłości nerwowe, medycyna środków nie ma...

Księżna zalewała się łzami...
Jadzi było coraz gorzej.

Po wieczornej z siostrą rozmowie, Celestyn noc całą przesiedział na łóżku, nie kładąc się. Czerwcowy wczesny poranek zastał go przy zgasłej lampce w myślach pogrążonego. Walczył z sobą — cierpiał: lecz obowiązek był tak jasny, tak niewątpliwy, droga tak jedyna i prosta, że wahać się nawet nie godziło. Wiedział co był powinien uczynić.

Pierwsze to serce, które dla niego zabiło tak gwałtownie, rozbudziło w nim uczucie wielkie, jedno z tych, co na całe życie w sercu jak pierwszy odcisk na nietkniętej płycie zostają. Księżniczka była dla niego duszą siostrzaną — bez której życie musiałoby być wieczną żałobą... Lecz po nad uczuciem stała niezblagana powinność.

Nawykł dotąd spowiadać się ojcu ze wszystkiego, nie umiejąc kłamać, nie chcąc zbyć go fałszem. Celestyn postanowił w głównych przynajmniej zarysach wyznać ojcu co go zmuszało natychmiast dom księżny opuścić. Miał zamiar, choć bez wielkiej nadziei umieszczenia się, wyjechać do Wilna i starać się o posadę nauczyciela.

Przyznanie się ojcu — tem konieczniejszym mu się zdawało, że zabezpieczało go od słabości własnej, której się lękał...

Przywiązanie do księżniczki już mu poddało sofizmat — by nie rozstając się z nią. starał się uleczyć ją i siebie, z uczucia, które nigdy uprawnionem być nie mogło...

Tak zwana wedle dawnego obyczaju, z czasów rządów na Ukrainie, kancellarya p. Joachima znajdowała się przez ścianę od pokoju syna. Zwykle bardzo rano z sypialnego pokoju przychodził do niej stary, i tu chodząc, pacierze i koronkę pół głosem odmawiał. Celestyn tak był nawykły do regularnego spaceru ojca, do mierzonych kroków jego i przestanków, że mógł niemal przewidzieć z pewnością, kiedy ukończy pacierze...

Czekał tylko na to...

Stary pan Joachim do odwiedzin syna o tej porze nienawykły. zdziwił się trochę, ujrzawszy go nieśmiało przekraczającego próg.

Wczorajsza twarz posępna, dzisiejsze przybycie, zapowiadało ojcu jakiś wypadek niezwykajny.

Rodzicielskie serce zadrżało: nie mogło to być nic — pomyślnego... Zakłopotanie Celestyna przy powitanii zwiększyło jeszcze trwogę p. Joachima...

Lecz niedarmo go purytaninem niegdyś zwano.

Wlepił oczy w syna, i westchnąwszy, odezwał się głosem męzkim:

— Mów; od wczoraj widzę, że masz coś na sercu. Mężczyźni jesteśmy, bez przygotowań—śmiało...

Wyciągnął rękę, którą syn ucałował.

— Chciałem tylko uprzedzić kochanego ojca—rzekł Celestyn,—ze lekcye u księżny porzucić muszę.

— Z jakiego powodu?

Celestyn się zawahał, pot mu wystąpił na czoło.

— Cóż? uchybiono ci? dodał ojciec.

— Nie—przeciwnie—odezwał się syn. Księżniczka aż nadto jest dla mnie uprzejmą—lękam się abym nie był posądzony, żem się starał pozyskać jej serce. Osoba młoda, żywa...

Zachmurzył się p. Joachim.

— Pokochała się w tobie—rzekł ponuro.

Celestyn nic nie odpowiedział.

— Jeżeli masz najmniejszą oznakę, że księżniczka jakąś fantazyą pańską zaprzętnęła sobie głowę — potrzeba ztamtąd uciekać.

Z tem postanowieniem tu przyszedłem do ojca, odezwał się Celestyn; ale muszę księżniczkę wytłómaczyć... Jest to zapewne tylko proste nawyknienie do kogoś, co ją umysłowo lepiej mógł ocenić i zrozumieć... Żyje w otoczeniu ludzi tak... pospolitych...

P. Joachim ręką dał znak, aby mówić przestał. Sam zamyślony jak wryty stał długo.

— Zdaje mi się też, kochany ojcze, że najlepiej będzie, gdy usprawiedliwiając moje wyjście z domu księżny, na jakiś czas się oddalę... Chciałbym wyjechać do Wilna; mogę, spodziewam się, otrzymać z czasem posadę choć gimnazyjalnego profesora...

— Wiesz, że ja cię w niczem nie krępuję, odparł p. Joachim. Radzę, ale już nie rozkazuję. Opieka ojcowska nie ustaje nigdy, lecz w twych latach władza musi ustać. Moje pojęcia o świecie i przyszłości, zastarzałe trochę, fałszywe być mogą. Masz własną wolę, nią się powinienś kierować.

To mówiąc uściśnął go, oczy miał łzami zaszłe.

— Jedź, rzekł... niech ci Bóg błogosławi! — zacnym jesteś i rozumnym...

Głos mu drżał. Widać było, że zapytać chciał jeszcze nie o jeden szczegół może, ale się wstrzymywał przez uczucie delikatności. Nie miło mu było męczyć syna, w którego twarzy boleść widział. Lękał się za nadto dowiedzieć, nawet odgadnąć.

— Jedź, powtórzył...

Celestyn pocałował go w rękę, odetchnął lżej, — i widząc, że p. Joachim milczy, oddalił się po cichu.

Teraz już cofnąć się z postanowieniem było niepodobieństwem.

Wróciwszy do swojego pokoju, Celestyn, jakby mu brzemieniem ogromnem ciążyło spełnienie ostatniej ofiary, usiadł list pisać natychmiast, aby go wysłać jak najprędzej.

Dzień cały miał wolny — oznajmił matce, iż spędzi go w mieście, i chciał wyjść, siostry nie żegnając, gdy Leokadya zabiegła mu drogę. Spojrzała w oczy i wciągnęła go do swojego pokoiku...

— Byłeś u ojca? spytała głosem drżącym...

Celestyn potwierdził skinieniem głowy i dobywszy list, pokazał adres jego...

Ze łzami w oczach Leokadya rzuciła mu się na szyję.

— Jesteś — moim kochanym, szlachetnym, — moim idealnym Celestynem! kocham cię! zawołała. Wiem wszystko... walczyłeś z sobą — wypowiadałeś się ojcu. — mosty spalone! Honor ocalał... Bóg ci ofiarę osłodzi!

Celestyn wymknął się, pożegnawszy ją ściśnięciem ręki...

Na Pradze jeszcze znalazłszy posłańca, pozbył się listu, który go palił, i — powlókł się bez żadnego celu do miasta. Wszystko zdawało się skończonem — lecz w istocie od tej chwili dopiero zaczynała się męczarnia, o której Celestyn nie miał wyobrażenia. Na próżno starał się otrząsnąć ze wspomnień natrętnych, z tęsknoty przygniatającej go... Niepokój serca przechodził do myśli, mącił głowę. Usiłował odpędzić naciśkające się widma — i z przerażeniem czuł się bezsilnym...

Nie widzieć jej nigdy, nigdy nie słyszeć, nie usiąść już przy tym stoliku. u którego tak długie razem spędzali godziny. być nagle wygnanym z tego raj, w którym tyle było rozkosznych męczarni i rozkoszy dręczących, cała filozofia Celestyna nie starczyła, aby to uczynić obojętnem.

Wiedział dobrze, iż gwałtowne uczucia przechodzą, że owoc zakazany był nie do poścignięcia, że ból ten musiał zwyciężyć — a w tej chwili cierpienie zdawało się nie do pokonania.

Wstydził się słabości swojej.

W tym stanie ducha zdawało mu się najlepszem pójść się pokazać choć pozornym zwycięzcą Michałowi, i w jego chłodnym realizmie, choć on go kaleczył i był mu przykrym — szukać antydotu na truciznę...

P. Michał, syn wysokie w hierarchii urzędniczej zajmującego stanowisko człowieka — szczęśliwszy od Celestyna, miał już posadę w biurze, stał jedną nogą wprawdzie na niskim szczeblu, ale wiodącym do góry.

Urzędowe jego zajęcia nigdy go z domu nie wwoływały przed dziesiątą; Celestyn spodziewał się więc zastać w domu przyjaciela. Rodzice p, Michała,

państwo referendarstwo. mieli własną kamienicę na Nowym-Świecie, a syn zajmował w niej na tyłach kawalerskie mieszkanie.

Sam on dzwoniącemu do drzwi Celestynowi otworzył. Ubierał się właśnie. Przywitali się dosyć chłodno.

— Przychodzę ci oznajmić, mój Michale — rzekł Kormanowski, że *alea jacta est* — uwolniłem się od lekcji i w tych dniach wybieram się od Wilna.

Michał pocałował go, twarz mu się rozjaśniła.

— Tak, to dobrze — odezwał się; — wszystko skończone, wolny jesteś i czysty... O twej księżniczce zapomnisz łatwo...

Celestyn głową potrząsł tylko...

— Radziłbym ci jako lekarstwo co najrychlej — rzekł, śmiejąc się Michał. — wejść w towarzystwo niewieście. Nic tak nie pomaga na miłość nieszczęśliwą jak miłość szczęśliwa. Jesteś bardzo przystojny — miły... nie będzie ci zbywało na pokusach...

Śmiał się.

— Jedziesz więc do Wilna — no — tem lepiej! I dodał: — Kiedy?

— To zależy... odparł lakonicznie Celestyn — zawsze jednak jak będę mógł najprędzej.

Rozmowa przybyciem gościa nowego została przerwana. Celestyn, który nie czuł się usposobionym do towarzystwa — wyszedł. Błądził czas jakiś po Saskim ogrodzie, potem po ulicach bezmyślnie. Spotkał kilka osób, z którymi obojętną zawiązywał rozmowę na chwilę — w końcu nie widział sposobu na zabicie czasu, tęsknoty i nudy, nad powrót do domu i zakopanie się w książkach...

Czytał, ale nie rozumiał.

Dzień włókł się jakby nigdy nie miał się skończyć. Leokadya zaglądała do niego nie wznawiając rozmowy o drażliwym przedmiocie; ojciec chodził posępny, ale nie zagadywał go już o nic więcej; matka, która o wyjeździe do Wilna była zawiadomiona, nie będąc wtajemniczoną w powody, kłopotowała się wyprawą. Serce jej coś odgadywało, lecz nawykła była nie pytać i nie badać, przyjmować co los przynosił — modliła się więc po cichu. Mówiła sobie: — Jeśli mi oni nie zwierzą się z tego, widać, że ja o tem wiedzieć nie powinna... Ale coś w tem jest...

Podróż zapowiadana do Wilna, nie tak była jednak łatwą do uskutecznienia jak się zdawało. Ówczesne środki komunikacyjne wcale były inne, i podróżny niezamożny czekać musiał na żydowską budę, na towarzyszków podróży, na okazyę. Celestyn sam nająć sobie furmana nie mógł, koszt był wielki.

Ojciec mający znajomości i wielce praktyczny, sam wprawdzie starał się ułatwić podróż synowi, chodził, rozpatrywał, posyłał — lecz jakby na przekorę, okazyi przyzwoitej, bezpiecznej, dogodnej nie było.

Tydzień więc przeciągnęły się te poszukiwania napróżno. Celestyn spędził go już nie mając wcale do miasta ochoty, siedząc w domu i męcząc się pracami, które mu nie smakowały, ani się wiodły.

Nareszcie Leokadya widząc go coraz bardziej smutnym i znękanym, sama zaczęła wypędzać na miasto, do znajomych, dla rozerwania się. Oprzeć się jej nie mógł.

Bez ochoty, z musu poszedł powoli do Warszawy, niedobrze wiedząc co zrobi z sobą. Na Krakow-

skiem-Przedmieściu. gdy jak najmniej chcąc być spostrzeżonym przemykał się bokiem, sykanie i wołanie, których z początku nie brał do siebie, zmusiło go głowę odwrócić.

Z karetki wysiadał doktor Landler. którego w domu księżny spotkał, ale się z nim znał mało... Z pośpiechem wielkim, grzeczny zawsze lekarz. po bardzo uprzejmem powitaniu i uwadze, że dawno nie miał przyjemności i t. d. szepnął, że miałby parę słów do pomówienia.

— W ulicy, widzi pan — dodał, — niedogodnie jest stać na oczach ludzi... Siadaj pan ze mną na chwilę.

Naleganie to zdziwiło trochę Celestyna, wprowadziło go w niepokój — lecz oprzeć się nie miał powodu... Siedli więc razem do powozu, którego franki ostrożny doktor zapuścił i zwrócił się do Celestyna.

— Bardzo rad jestem, że pana spotkał — rzekł — bo w nader drażliwej okoliczności potrzebuję od niego objaśnienia.

Pomyślał trochę i wyciągnął do niego rękę.

— Wiem. że pan dobrze życzysz domowi księżny Eufrezyi, znam szlachetny charakter jego... nie potrzebuję go prosić, aby to, co mówimy, zostało pomiędzy nami.

Celestyn zapłonał cały. mruczając coś niewyraźnego.

— Księżniczka Jadwiga — mówił doktor dalej. — jest chora, jest nawet mocno chora — mogę powiedzieć wreszcie, iż... słabość przybiera charakter ewentualnie życiu zagrażający...

Popatrzał w oczy długo Celestynowi. który zmieszany wzrok spuścił.

— Tak jest —powtórzył—księżniczka niesłychanie nerwowa... temperament żywy, rozpieszczona... Matka i rodzina są w rozpacz; ja jako lekarz i przyjaciel domu—radbym to biedne dziecko ratował... Ale do tego potrzeba może więcej świadomości położenia niż leków... Mam powody do silnego podejrzenia iż księżniczka Jadwiga... choruje z przyczyny oddalenia się pańskiego od tego domu...

Celestyn chciał zaprzeczyć, doktor mówić mu nie dał.

— To nie ulega wątpliwości — dodał żywo. Kwestya tylko dla mnie. czy tu samowola, czy inne uczucie główną gra rolę. Mogło się jej nie podobać, że się ktoś śmiał uwolnić, chociaż ona go sobie nieć życzyła—i mogła się też... przywiązać. Ostatnie przypuszczenie dla mnie byłoby zupełnie usprawiedliwionem...

Celestyn milczał.

— Tu idzie może o życie księżniczki—dorzucił doktor bardzo poważnie. Daję panu słowo na to. iż — ono jest zagrożone. Ja potrzebuję wiedzieć, jak... bliżkie były pańskie z księżniczką stosunki.

Oburzył się Celestyn.

— Stosunki moje ograniczały się do lekcyj obowiązkowych, zawołał. Księżniczka była dla mnie uprzejmą... nic więcej.

Gdy to mówił, twarz mu pałała, głos drżał.

— Lecz — dorzucił mimowolnie — miałaby stan zdrowia księżniczki istotnie...

— Stan jej zdrowia jest bardzo zły — bardzo groźny. Czas nie tylko. nie przynosi ulgi, ale groźne te symptomata potęguje. Nerwy są niekiedy tak rozdrażnione, iż się niemal o umysł lękaćby można.

Wlepił oczy w Celestyna. który drżał z poruszenia.

— Panie konsyliarzu — odezwał się, boleśnieby mi było. gdyby z pozorów sądząc ludzie, rodzina, pan wreszcie na muie winę składali tego dla mnie niepojętego wypadku. Mogę panu zaręczyć słowem uczciwego człowieka, że uczucia żadnego ani się starał wywołać, ani był świadom... Jestem zupełnie niewinien.

— A ja o tem najmocniej przekonany, wtrącił doktor, kładąc mu dłoń na rękach. Znam Jadzię od dzieciństwa... nikt się jej narzucić nie może, ma fantazyje własne, jest samowolna... ale idzie o jej życie... a razem i o matkę... o rodzinę... Mów mi pan otwarcie, ja potrzebuję. ja to wiedzieć muszę... Ona kochała się w panu... dała mu to poznać? Mów pan otwarcie jak na spowiedzi..., powtórzył doktor.

— Gdym się mógł — tej fantazyi domysleć, bo inaczej nazwać nie śmiem tego uczucia — rzekł Celestyn, — natychmiast oddaliłem się.

— To było postępowanie piękne, szlachetne, odezwał się Landler... lecz przebacz mi. że go tak egzaminuję — jest to w obyczaju doktorskim. Panua Jadwiga dała to panu poznać? w jaki sposób?

Celestyn zarumienił się mocno — milczał.

— Powtarzam mu, że tu idzie o życie, o spokój — rzekł żywo Landler, — w jaki sposób?...

— Bardzo nieśmiały i może nawet niewyraźny — począł Celestyn, stając w obronie księżuiczki. Ja nawet mam sobie do wyrzucenia, że to wziął nazbyt seryo... nie w tem nie było...

— Choroba dowodzi, żeś pan się nie mylił. i że uczucie było bardzo... seryo — odparł uśmiechając się

doktor, — chociaż wcale za tem nie idzie. aby gwałtowność uczucia, zwłaszcza w tak młodem dziewczęciu. za jego trwałość ręczyła. Dla tego ja jestem tego zdania — mówił lekarz w oczy patrząc Celestynowi. — że zamiast walczyć z tem uczuciem, należało i należy dać się przesilić!

Doktor odchrząknął i począł poprawiać rękawiczki.

— Tak. kochany panie, ciągnął dalej: życie księżniczki jest zagrożone; wszystko co możliwe czynić musimy, aby ją ocalić, aby umysłowi wrażliwemu nie dać dojść do szału i obłąkania — dla tego ja pana widzieć chciałem i na wszelki wypadek go prosić — zaklinać, abys cofnięcie się swoje sam odwołał... To ją uleczy, jestem pewien, a że później owo gwałtowne uczucie, przy innych wrażeniach, o jakie się matka postara, — osłabnie i rozwieje się... za to prawie ręczyć można. Więc...

Celestyn przerwał żywo:

— Przepraszam doktora, ale ja powrócić do dawania lekcyj nie mogę... Ojciec mój wie dla czego się ich wyrzekłem, on na to nie pozwoli, a ja sam, mimo całego szacunku dla domu księżny, nie mogę być jakąś igraszką w rękach ludzi, chcących się tylko mną posłużyć, aby się mnie pozbyć.

Doktor zagryzł usta. Karetka właśnie się przed jego mieszkaniem zatrzymała w ulicy Bielańskiej. Landler ujął obie ręce Celestyna.

— Zrób mi tę łaskę, rzekł, wstąp do mnie na kieliszek wina i cygaro. Musimy jeszcze pomówić z sobą, nie skończyliśmy.

Kormanowski upierał się trochę, ale doktor był tak zarazem grzeczny i tak napastliwy, że odmówić mu było trudno. Celestyn zaś wołał od razu nieprzyjemną tę rozprawę skończyć, niż mieć w przyszłości obawę nowego jej rozpoczęcia.

Weszli więc na górę do bardzo eleganckiego, wygodnego, wonnego i wytwornie umeblowanego apartamentu. Lokaj w liberyi otworzył im drzwi; zasiedli przy stoliku w salonie, zarzniętym książkami i nutami; Landler się przysunął do Celestyna, który siedział pogrążony w sobie i chmurny.

— Wiedziałem z góry rzekł, iż ofiary wielkiej wymagam od pana. Jest to myśl moja tylko. matka jeszcze jej nie powzięła. jest w rozpacz i nie widzi wyjścia... Ja upatruję w tem ratunek... Jakże pan, pan, który nie mogłeś nie powziąć pewnej sympatii dla uczennicy, bo takie uczucia zawsze ją wywołują, pan nie chciałbyś jej — ocalić życia... przez dnmę i — drażliwość miłości własnej?!

— Nie mówmy o tem — przerwał Celestyn — proszę. Jabym chciał się owszem sprzeciwić szanownemu panu w jego dyagnozie i wyborze lekarstwa... Moja przytomność może raczej podnieść chorobę. jeśli jej źródło jest w tem, co pan wskazujesz. Przykrość chwilowa przejdzie, przesilenie nastąpi, zostaną zapomniane... i — wszystko będzie skończone.

— Wcale nie! sprzeciwił się Landler. Nietylko przesilenie nastąpić nie może. ale choroba wzrasta — nie mamy na nią innego środka...

— Tylko mnie poświęć! mruknął Celestyn.

— Tak, ale pan masz męską energię, i to. co dla

tego... dziecięcia jest chwili życia osią. dla pana zaledwie ciekawą przygodą. Pan łatwo zapomnisz.

Przyniesiono wino, przerwano na chwilę przykrą rozmowę. Doktor zadumany, namarszczony, przestał nalegać... Zwracając się z powodu nut porozkładanych na stole do swego zamięlowania muzyki, zaczął się sam z niego wyśmiewać.

Jakiś czas mówili o rzeczach obojętnych, choć czuć było, że myśleli o czemś innem. Celestyn wziął kapelusz. Dr. Landler zbliżył się do niego z wielką natarczywością.

— W imię współczucia i litości, jakie pan musisz mieć dla domu księżny, rzekł, o jedno pana proszę tylko — nie oddalaj się, zaczekaj. Będziesz miał na sunieniu, gdy dziewczę dostanie obłąkania, albo umrze... Nie wyjeżdżaj... Wiem i wierzę, żeś pan świadomie nie przyczynił się do rozbudzenia tego uczucia — lecz zawsze byłeś powodem mimowolnie, iż się ono rozwinęło. Wkłada to na pana niejaki obowiązek. Daj mi pan słowo, że nie wyjedziesz...

Celestyn uczuł się wzruszonym. nie odpowiedział nic. ścisnął rękę doktora, dając znak głową, że się zastosuje do jego żądania... Gospodarz odprowadził go aż do wschodów...

W pałacn księżny, od czasn jak choroba księżniczki zaczęła coraz groźniejsze przybierać oznaki. panował niepokój. zamęt, wrzawa, którą księżna matka z nieustannemi, a coraz innemi myślami i środkami, dręczyła siebie i drugih. Jakkolwiek wierzyła w doktora swego, bezskuteczność leków. które wskazywał, przyprowadziła ją do zwątpienia.

Wieść o chorobie rozeszła się była po mieście, łączono do niej komentarze, ciekawość była do najwyższego stopnia rozbudzona. Przyjaciołki i dalekie krewne księżny pod pozorem troskliwości o jedynaczkę, dowiadywały się nieustannie. Księżna jednym z nich dziękowała przez pannę Klarę, inne przyjmowała sama.

W rozmowach jednak, choć się czasem zdradzała, nie wydała się nigdy wyraźniej z tem co kryzys spowodowało. Skarżyła się na słabowość córki: przypominała, iż podobnych attaków przeżyła już Jadzia wiele...

Do najserdeczniejszych przyjaciółek domn należała tegoż co ks. Enfrezya wieku, od dzieciństwa z nią związana węzłami najczulszemi pani markiza de la Beaume... Była ona z tego samego domu co mąż ks. Eufrezyi, łączyły je więc stosunki familijne, a charakter i temperamenta zbliżały. Choć już nienłoda, markiza dotąd zwała się i znana była w towarzystwie pod poetycznem imieniem Żuliety.

Z dawnej, podobno piękności, dziś jako ślady pozostały na szerokiej rumianej twarzy, małeńki nosek, ładne jeszcze nsteczka i oczy, które z niebieskich wypłowywały na szare. Biała, rnmiana, ale do zbytku otyła, zawsze zmęczona najmniejszym ruchem, Żulieta lubiła wesołe towarzystwo, rozrywki wszelkiego rodzaju, swobodę, podróże, co tylko uprzyjemnia życie. Ciekawa, trochę wścibska, nie była złośliwą. choć często drasnęła dowcipem... Owdowiawszy, wychowawszy szczęśliwie syna, który już rozpoczynał karierę dyplomatyczną, swobodna, należała do tych od Opatrzności ubłogosławionych i wybranych, którym życie płynie tak jakoś równo i gładko, że gdy im palec narwie, lub głowa zaboli, liczą to do wielkich utrapień.

Z ks. Eufrezyą kochały się, znały. zwierzały sobie wszystko; jednakże w pierwszych dniach, gdy Jadzia zachorowała. a Żulieta nadbiegła dowiedzieć się, pocieszać, ofiarując usługi swoje, księżna istotnej przyczyny wypadku nie odkryła przed nią.

Żulieta badać nie miała zwyczaju natarczywie, domyślała się wiele, ale czekała aż ból i potrzeba współczucia skłoni księżnę, by się jej zwierzyła. Bywała codzien, a że miała prawo wniknięcia o każdej godzinie, miała też zrzeczność przypatrzeć się całemu przebiegowi macierzyńskiej rozpacz i męczarni.

Wreszcie co przewidywała nastąpiło, księżna się jej rzuciła na szyję i wyznała wszystko po cichu. Chciała rady, wzywała ratunku. Żulieta rozplakała się, załamała ręce, dobiła flaszeczkę wódki kolońskiej, bez której nie wyjeżdżała nigdy z domu, oblała nią głowę, natarła skronie—i siadła obok księżny..

Nastąpiło szczegółowe spowiadanie od pierwszego omdlenia poczynawszy aż do obecnego stanu, który jak mówił doktor, zagrażać mógł obłąkaniem — a z półsłówki jego domyslać się było można gorzej jeszcze.

Matka miała tylko łzy i rozpacz... ratunku nie widziała...

— Ale, droga moja Freziu! zawołała Żulieta, — ty bo doprawdy tracisz głowę. Najprzód zdaje mi się, że chociaż Landler jest bardzo dobrym doktorem, można by wezwać innych do porady...

— Musiałabym wyznać przed nimi przyczynę choroby—przerwała księżna... to niepodobieństwo...

— Landler mylić się może... Tu Żulieta przysiadła się bliżej jeszcze do kuzynki i na ucho szeptała żywo:—Ja wierzę tylko w jednego doktora, pewnie słyszałaś o nim... zowią go dziwakiem, nazywają szarlatanem—jest przykry, jest niemiły—to prawda, ale dokazuje cudów. Domysłasz się, że mówię o Pietraszku...

Ks. Eufrezja obiema rękami strzepnęła i chwyciła się za głowę.

Ten doktor Pietraszek, który od lat kilku osiadł był w Warszawie w małym dworku w Alejach, w istocie nie był podobny do zwyczajnych lekarzy. Posądzano go, że umyślnie ekscentrycznym był, ażeby obudzić ciekawość; ci, co go bliżej znali, utrzymywali, iż dziwactwa jego wypływały z charakteru, a tego znamieniem szczególnem była miłość swobody, niemożność zastosowywania się do ludzi i zupełna forma przyjętych pogarda.

Pietraszek zajmował dworek lichy, nabyty przez siebie, sam jeden. Był on oparkaniony wysoko, odo-

sobniony, i niezawsze łatwo się do niego dostać było. Stara kncharka i niemniej stary sluga, gbur jak pan, w długiej kapocie, z krótko postrzyżoną głową, składali cały dwór doktora.

Sam Pietraszek nienłody. średniego wzrostu. mocno przygarbiony mężczyzna, z głową nad miarę wielką, na pół łysą, zawsze brudną czapeczką pokrytą, chodził zwykle w kapocie wytartej, odziany tak, że go za wyrobnika wziąć było można. Zadawano mu w początkach samonctwo i nieznajomość medycyny, lecz się podobno wywiódł dyplomem jakiegoś uniwersytetu.

Mrukliwy był, niegrzeczny, opryskliwy, niekiedy w mowie aż do grubiaństwa weredyk, a miał to do siebie, iż bogatym i wysoko położonym nie folgował, i owszem jak najostrzej się z nimi obchodził. Klientellą jego najulubieńszą byli ubodzy, i gdy go czasem do najznakomitszych domów powoływano, z przekąsem opowiadał, że wprzód żybraka musi opatrzeć — bo ten doktorów na zawołanie nie ma.

Jeżeli raczył się udać do którego z pałacowych chorych, szedł zwykle ubrany jak najbrudniej, i zdawał się mieć w tem przyjemność, by nie i nikogo nie poszanować.

Nie powoływano go też, chyba w tych razach zdesperowanych, gdy inni doktorowie opuścili chorego — a cała i jedyna nadzieja pozostała w tym. którego szarlatanem zwano.

Prawdą jednak było, że ten dziwak i grubianin miał oko nadzwyczaj bystre i trafne, i że ndawało mu się robić cuda tak małemi i prostemi środkami, iż

kompetentni sędziowie z uśmiechem poruszali ramionami.

Bardzo często Pietraszek wprost odmawiał.

— Tak, tak, mówił, przychodźcie do mnie, gdy już wasze Eskulapy chorego lekarstwami otkali, struli, zniszczyli, i chcecie, abym ja naprawił co partacze popsuli. Jam nie Pan Bóg! Niechaj ci sobie kończą co zaczęli...

Gdy się raz dziwak uparł, największym datkiem niepodobna go było skłonić do zmiany postanowienia. Od bogatych żądał dużo, od ubogich nie brał nic, lekarstwa im sam przyprawiał, jadło posyłał. Mówiono, że to było komedya—o ludzkie języki nie dbał wcale.

Szyderca nielitościwy, nie oszczędzał nikogo. Po całych dniach zajęty z chorymi i około jakichś medykamentów, które przyprawiał, doktor Pietraszek żył nadzwyczaj prosto, na kuchni chłopskiej. na chlebie razowym, i nie miał innych w życiu przyjemności nad swe powołanie.

Do domu swego mało komu się wcisnąć dozwalał; ci, co bywali dopuszczeni, mówili o oryginalnem urządzeniu wewnętrznem, porozrzucanych książkach, schnących ziołach, butlach i osobliwych apparatach co w mniemaniu powszechnem szarletaństwa dowodziło.

Tego to doktora, wyśmiewanego, ale mającego też namiętnych obrońców, ośmieliła się poradzić przyjaciółce Żulieta. Widząc jak rada ta była źle przyjęta, dodała żywo:

— Proszę cię, gdzie o dziecko idzie. a doktor na próżno wszystkie środki wyczerpuje i choroba się po-

wieksza — trzeba się chwycić jak mówi przysłowie, choć brzytwy.

Księżna słuchać nie chciała.

Nazajutrz jednak, po namyśle oświadczyła Żuliecie z wahaniem jeszcze, że — gdyby nikt o tem nie wiedział, a można potajemnie uprosić Pietraszka... gotowaby się zgodzić na to.

Markiza wzięła na siebie przywiezienie dziwaka. Była z nim znajoma, bo raz zagrożona chorobą gardła, w której ją lekarze odstawili, winna była Pietraszkowi cudowne ocalenie. Odtąd odwiedzała go, posyłała mu kwiaty, które lubił i stała się jego wielbiczką. Stary dziwak oswoił się z nią, mniej dla niej niż dla innych był niegrzeczny, czasem kwadrans jaki z nią pogawędził, słowem — wedle wyrażenia Żuliety miał słabość dla niej.

Z tej słabości markiza postanowiła korzystać, i nazajutrz rano pojechała w Aleje. Sługa pana konsyliarza, którego zwano Tymczą, hojnie obdarzany przez markizę, chętnie jej wyrabiał audyencyę. Choć to była najniwłaściwsza godzina, bo poświęcona chorym ubogim, a tych u wrot ścisk był wielki, Żulietta umiała wpłynąć tak na Tymczę, że panu ją oznajmił i zaprowadził do izby, w której na krótko oświadczył się ją przyjąć.

Niepiękna była powierzchowność p. Pietraszka, który dnia tego miał jeszcze od pół tygodnia nieogoloną brodę, a przyodziany był w kapotę ranną i pantofle z obciętych bótów zrobione, na bosc włożone nogi. W rękach zasmolonych doktor trzymał nasmarowany właśnie plaster, którego woń aromatyczna roz-

chodziła się po izdebce, gdy Żulieta wesoło weszła pozdrawiając go...

W pokoiku zarzuconym gratami sięść nawet nie było na czem.

Był to rodzaj laboratorium czy apteczki... Na oknach, na półkach, na podłodze pełno było garnków, flaszeczek i słoików... Papier, sznurki, korki stolik niewielki okrywały.

— Konsyliarzu, jeśli kiedy miałam u was odrobinę łaski — poczęła markiza — ja, com ci winna życia...

— Ale ba! mruknął doktor, patrząc na nią; nie mnie, ale naturze. Inna by po tych lekach, jakie jej dawali, dyabli wzięni... O cóż idzie?

— Jakby o moje własne dziecię, jakby o mnie samą! zawołała Żulieta.

— A siła tam już tych trutniów było przedemną? zapytał.

— Jeden tylko...

— Choroba trwa od dawna?

— Dni z dziesięć.

— Cóż to jest?

Na to ostatnie pytanie zmieszana Żulieta odparła, że nie wie, i że księżniczka...

— E! e! księżniczka! krzyknął doktor, ręką wywijając w powietrzu — a dajże mi acani pokój! Ja jestem doktor dla chłopów nie dla książąt. Na ich chorobach ja się nie znam...

Lecz Żulieta nie zważając na odmowę, zaczęła gwałtownie prosić, modlić, zaklinać, i doktor zniecierpliwiony jęknął:

— No, to muszę uleść... bobyń się jej ani dziś, ani jutro nie pozbył. Zapowiadam jednak wcześniej, że ja

będzie ją kurował jak chłopkę... Dla mnie nie ma książąt, tylko wątroby i kiszki takie same jak u chamów.

Sprzeciwiać się dziwakowi nie było sposobu, markiza musiała podziękować, umówiła się o popołudniową godzinę, i wprost pojechała do księżny npewnić się, aby dr. Pietraszek nie spotkał się z Landle-rem, coby nieprzyjemną kolidację spowodowało.

Jadzia dnia tego była gorzej jeszcze, miała spazmatyczne płacze i śmiechy, rzucała się, nie dawała matce nawet zbliżyć się do siebie. księżna przeleżała godzinę na wszystko byle dziecko ratować.

O umówionej godzinie, karetka markizowej przywiozła Pietraszka, który ranny swój strój zmienił tylko o tyle, iż wdział bóty długie i rodzaj czarnej chustki skróconej jak sznurek na szyję.

Na witającą go grzecznie w saloniku księżną matkę ledwie spojrzawszy, rzekł gburowato, iż na komplementa nie ma czasu, i kazał się prowadzić do chorej. Obawiano się, aby na Jadzi ta postać obca nie uczyniła zbytniego wrażenia; musiała więc matka pójść jej wprzód oznajmić tego doktora, o którym ona dawniej słyszała.

Zmieniona strasznie, żółta, z oczyma zaczerwienionemi. z włosem potarganym leżała księżniczka na łóżku, na przekorę pannie Klarze, zrzucając z siebie czem ją okrywano. Brwi jej zmarszczyły się groźnie, gdy zobaczyła wchodzącego, który krokiem powolnym zbliżał się, wlepiwszy w nią oczy.

Wzrok ten siłą jakąś magnetyczną podziałał na chorą, twarz jej odbiła wrażenie,...

Krzesło stało w nogach, Pietraszek zajął je spokojnie, wciąż przypatrując się księżniczce...

— Co to panience jest? hm? zapytał głosem chłodnym...

Nie było z początku odpowiedzi. Oczekując na nią, Pietraszek przypatrywał się bacznie pacjentce, twarzy, rękom, najmniejszym szczegółom, które organizm wewnętrzny zdradzić mogły. Potrząsał głową.

— Cóż spowodowało chorobę? zapytał łagodniej.

Jadzia milczała jeszcze, lecz równie bacznie wpatrywała się w doktora jak on w nią, i zdawała się łagodnieć... uspakajać. Machinalnie podciągnęła kołdrę i zakryła się nią aż do twarzy.

— Co pannę boli? odezwał się Pietraszek.

— Serce! szepnęła księżniczka.

Doktor się uśmiechnął z lekka...

W pokoju panowało milczenie dziwne i straszne. matka sobie oczy zakryła...

— Doktorowi potrzeba się spowiadać jak księdzu — z wolna odezwał się Pietraszek. Proszę mi mówić co się to tam temu sercu stało...

I nie czekając odpowiedzi, Pietraszek wtrącił pytanie:

— Ile lat?

Matka odpowiedziała trwożliwie i z daleka, a doktor głową pokiwał.

— No, rzekł — jeśli lat aż tyle ma panna. to łatwo zgadnąć, że się może serce ozwało o swe prawa!... Jakże tam?

Spojrzał na Jadzię, — która głową dała znak potwierdzający...

— I serce pewno nie po książęcemn lecz po ludzku musiało zrobić wybór, który się nie podobał. i tam dalej.

Doktor wstał z krzesła.

— Ja na takie choroby nie lecę... tu ani mięta, ani rumianek, ani naparstnik nie pomoże... Pani matka niech nie dziwaczy — a córka będzie zdrowa... Dać sercu czego chce—prosta rzecz...

Jadzia słysząc to, rozpromieniona powstała na łóżku, wlepiając oczy w matkę, która stała z twarzą zakrytą. Pietraszek podszedł do niej.

— Po co tu leki? rzekł; na co doktor? Co asińdźka wolisz, czy żeby ona księżniczką, czy kobietą jak inne żyła? masz do wyboru... Darmo dziewczyny nie męczcie. Wychowaliście ją tak, że nawykła czynić po swej woli, wojsować z sobą i sercem nie umie. To darmo... Daliście jej takie serce, teraz go słuchajcie... Nie dziwaczcie—jutro wstanie!

To mówiąc uśmiechnął się Pietraszek, zabierając do wyjścia.

— Lekarstwami ją strują i zameczą—dodał.. belladone, morfinę, laurowe krople będą dawali — darmo. Tu co innego potrzeba...

Skinął głową sympatycznie księżniczce i posunął się do progu. Tu co innego potrzeba...

Skinął głową sympatycznie księżniczce i posunął się do progu. Żulieta i ks. Eufrezja ciągnęły za nim. Zatrzymał się w salonie.

— Czy w istocie grozi jej niebezpieczeństwo takie? zawołała matka...

— A, grozi, odparł doktor. Z zapaleniem bodaj mózgu czy płuc my sobie rady dajemy, ale kiedy na młody organizm padnie wielkie uczucie—zabić może... Oszaleje albo... zameczy się...

Nie chciał już więcej mówić Pietraszek, powtarzał tylko:

— Samiście tego piwa nawarzyli: dziecko pieszczone być musiało. Nie odmawialiście jej nigdy nic, teraz się sprzeciwiać za późno.

Z tem wyszedł w dziedziniec, i podziękowawszy markizie za karetkę, pieszo się powlókł do domu...

Księżna matka wypłakała się, nagniewała, lecz ostatecznie zawyrokowała, że to był bezwstydnny cynik i szarlatan... Chodziła jednak pod wrażeniem jego wyroku jak w gorączce, gdy dr. Landler z wieczorną zwykłą wizytą się zjawił.

Miał minę nasępioną bardzo i smętną. Zwyczajem swoim, gdyż pilnował form wszelkich nałogowo, pośpieszył najprzód do księżniczki, w milczeniu obejrzał chorą, która na pytanie mu odpowiadać nie chciała, i wyszedł z twarzą jeszcze bardziej zasępioną do księżny.

Przysiadł do niej w sposób taki, iż się kazał domyśleć jakiejś niezbyt pomyslniej nowiny. Znano go z tego, iż pragnął zawsze osłodzić, gdy miał co gorzkiego do wypowiedzenia.

— Jakże pan dziś znalazłeś Jadzię? spytała dość obojętna księżna, przygnębiona wyrokiem Pietraszka.

— Hm — odparł doktor — polepszenia nie widzę, gorzej nie jest, choroba się wprawdzie nie zwiększa ale kryzys przeciąga. Mydycyna niewiele tu uczynić może. Nie będę tał iż — zdawałoby mi się — że w interesie zdrowia... należy pewne uczynić ustępstwa...

Matka spojrzała na niego, wyzywając go do jaśniejszego tłumaczenia.

— Tak, mościa księżno, dokończył doktor po ciachu — tak... ośmielałam się wnieść co mi sumienie nakazuje... Należałoby w jakikolwiek sposób powołać odprowadzonego nauczyciela... Wszak-ci to żadnych za sobą następstw nie ciągnie. Mnie się zdaje, iż księżniczka, gdy się jej sprzeciwić nie będziemy, sama spostrzeże... iż to było fantazją dzieciinną. Nie widzę innej rady... Trzeba jej dać tę zabawkę, którą ona sama może potem połamać i na świat nisko wyrzuci.

Księżnę Eufrezyę słuchającą z uwagą uderzyło to głównie, iż dwaj doradcy, nieznani sobie, zgadzali się na jedno. Było to dowodem, iż w istocie nie miała nic innego do czynienia.

Załamano rękę w milczeniu.

— Mościa księżno—dodał Landler,—gdyby nie szło o zdrowie, a może o życie—nigdybym tak heroicznego nie przepisał lekarstwa... ale... ja z moją medycyną jestem bezsilny.

Rozpostarł ręce.

Nastąpiło milczenie długie.

— Jeżeli to wyrok ostateczny, rzekła matka głosem osłabłym, dla ocalenia dziecka...

Spuściła głowę.

Lecz mówiono mi, dodała żywo, że ten... pan miał wyjechać. Jeśli go nie ma już w Warszawie.

Doktor nie wydał się ani ze swą rozmową, ani z wiadomością o Celestynie, szepnął tylko, iż mu się zdaje, iż jest prawie pewien, iż widział go w ulicy... Spojrzał na zegarek i pożegnał księżnę.

Gdy się to działo w pałacu, prawdziwie nieszczęśliwy Celestyn męczył się myślami, które musiał przed wszystkimi ukrywać. Siostra, która go znała jak siebie samą i czytała w nim każde wrażenie, postrzegła zmianę, pogorszenie, którego przyczyny nie umiała odgadnąć, próbowała go badać i nic się nie dowiedziało.

— Cóż ty chcesz? rzekł jej smutnie—wiesz, że się do niej przywiązałem, tęsknię, walczę — odbija się to na mojej twarzy... Słyszałem, że jest mocno chora.

Leokadya, która nienawidziła tej nieznanego sobie istoty, co niepokój wyniosła do serca ukochanego jej brata—nie chciała uwierzyć w chorobę.

Kaprysi tylko! zawołała...

Ze swej strony ojciec, któremu pilno było syna wyprawić, bo zmianę atmosfery, otoczenia i stosunków uważał za uzdrawiającą — dręczył się, że okazji do Wilna wynaleźć nie mógł. Wyszukał jedną, wprawdzie niebardzo dogodną, ale w towarzystwie starego znajomego profesora, przynaglał mocno syna, aby z niej korzystał. Celestyn już po rozmowie z doktorem, wymówił się błahym pozorem. Uderzyło to pana Joachima. Starał się i on wybadać go — lecz nie dowiedział się nic, oprócz że syn widocznie się ociągał.

Znając jego pracowitość, p. Joachim spodziewał się, że dni teraz niezajęte niczem zechce Celestyn poświęcić nauce... Nie mieszał on się do spraw jego, lecz miał nadzór nad niemi, przekonał się, że po ca-

łych dniach biedny chłopak Inb w domu chodził zadumany po swym pokoiku, lub spędzał je na przechadzkach...

Tembardziej więc pragnął go wyprowadzić z domu, czując, że tu powietrze wspomnieniami przesiąkłe nie jest dla niego zdrowe,.

Tak upływały dni — tygodnie, gdy jednego wieczoru, w czasie niebytności Celestyna, list nadszedł do niego. Dostał się on w ręce ojcu, który korespondencyj dzieci swych nie zwykł był tykać i szanował jej tajemnice. Położył więc go na stole w bawialnej izbie—ale uderzyła go pieczęć książęca na nim, którą znał i charakter, w którym się domyślał — ks. Marcina.

Czekał z niecierpliwością powrotu syna, który nadszedł późnym wieczorem. Wszyscy byli zebrani około starego okrągłego stolika, a Leokadya gorączkowo robiła pończochę swą, ciągle się na drzwi ogłędając, bo ją ten list więcej niż ojca niepokoił, — gdy wolnym krokiem, opieszale wchodzący ukazał się Celestyn.

— Jest list do ciebie — rzekł znacząco podając mu go ojciec.

Dla oka ojca i siostry dość było spojrzenia na zmienionego i drżącego Celestyna—by poznać, jak go widok listu tego poruszył. Wahając się, wziął go do rąk, nie śpiesząc z otwarciem, jakby się czytać obawiał, spoglądał błędnym wzrokiem do koła — słowem widać było, iż trwoga i niepewność go ogarnęła.

Zwłoka ta i wahanie się najbardziej uderzyły ojca. Nie śmiał nagiąć—ale stał się niespokojnym.

Celestyn trzymał kopertę w ręku, patrzył na nią, zmieszany był i musiał usiąść na krześle, bo nogi pod nim drżały... Leokadya bladła, serce jej biło i z rozpaczą powtarzała sobie:

— On ją kocha. .

Matka wielbiąca syna, nieświadoma tej historii jego serca, w prostocie ducha spoglądała po twarzach męża, córki, Celestyna, i nie wiedziała co to jakieś ich zakłopotanie znaczyć miało.

Wreszcie Celestyn długo list wytrzymawszy w ręku, musiał go rozpieczętować, rzucił na niego okiem, i ze spuszczoną nad nim głową pozostał dłużej niż czytanie wymagało. Myślał co ma uczynić, jak postąpić... List był od księcia Marcina.

„Pupilla moja księżniczka Jadwiga, po cierpieniu, które nieostrożne zaziębienie spowodowało, z rady doktorów potrzebuje rozrywki. Znane jest panu jej zamiłowanie w literaturze, nie więc pożądańszem dla niej i dla nas być nie może nad to, byś pan był łaskaw czas jakiś jeszcze lekcye swe przedłużać. Prosimy o to najmocniej w interesie jej zdrowia, i ona sama łączy prośby swe z naszymi. Wiemy, że pan dobr. znajdujesz się w mieście, i spodziewamy się, że nam tego nie odmówisz. Gdyby zaś nawet miało to go narazić na jakie straty — będziemy się czuli w obowiązku wynagrodzenia ich.

„Ufamy więc. iż przez życzliwość dla domu naszego, zechcesz w najbliższym czasie odwiedzić swą uczennicę i t. d.“

Księżna dodała przypisek własnoręczny:

„Proszę pana bardzo, abys był u nas koniecznie jutro, i oczekuję na niego. Bez żadnej wymówki.“

Celestyn odczytawszy raz i drugi list cały, w milczeniu położył go otwartym na stoliku, naprzeciw ojca.

P. Joachim dobył okulary, i z widoczną obawą zabrał się do czytania. Zmarszczyła mu się brew, zagryzł wąsy. stał długo, z listem w ręku...

Zwrócił się potem do syna, z niemem zapytaniem. Celestyn nie odzywał się.

— Co to jest? igraszki jakies? mruknął. Masz zabawić rekonwalescentkę?

Ruszył ramionami.

— Potrzeba było zawczasu do Wilna wyjechać, bylibyśmy nieprzyjemnej tej korespondencji i niemiłej odmowy uniknęli.

Matka, która także list sobie przysunęła i przeczytała go, odezwała się ze zwykłą prostodusznością:

— Dla czegoż odmowy? To biedactwo przywiązało się widać do swojego profesora... tęskni—dla czegoż Celestyn ma odtrącać? Oni płacą dobrze...

— Biedactwo! wtrącił p. Joachim, patrząc na żonę — biedactwo to, co się do jejmościnego syna przywiązało, także po nim tęskni. ma lat ośmnaście czy dziewiętnaście, Celestyn dwadzieścia kilka...

Zarumieniła się pani Monika.

— Cóż bo znowu jegomość takie jakies niedorzeczne robisz przypuszczenia!

Leokadya jak w tęczę patrzała na brata, który siedział zdrtwiał. Ojciec także zwrócił wejrzenie na niego, domagając się, aby wypowiedział myśl swoją. Celestyn bladł, rumienił się, nie mógł zebrać się na słowo. Nagle powstał z krzesła. potarł ręką po czole, i rzekł:

— Zdaje mi się, że odmówić byłoby niewłaściwem...

P. Joachim głowę podniósł.

— Tak, zawołał — tak asindziej sądzisz — a ja, ja sądzę, że te stosunki fałszywe co prędzej należy zerwać. Masz swój rozum, nie narzucam ci mojego, ale powiadam, że to do niczego dobrego nie prowadzi... Jeśli kaprys, zabawką być poważnemu człowiekowi nie przystoi; jeśli co więcej — sumienie nie pozwala narażać się na jakieś przyjaźni, które do niczego oprócz kalumnij ludzkich nie prowadzą. Wolno księżnie matce pobłazać zepsntemu dziecięciu — ale cóż za rola dla waćpana?

Leokadya oczyma potakiwała ojcu. matka ramionami ruszała, ale przeciw zdaniu jegomości odzywać się nie śmiała. Milczała więc. Celestyn zdawał się niepewien co pocznie.

— Bądź co bądź — rzekł po namyśle, — zamiast na list odpowiadać, będę sam jutro. i postaram się o to, aby mnie nwołniono...

— Jaby list wolał — odparł ojciec. Ty, mój Celestynie, nie masz dosyć energii, miękki jesteś...

Syn potrząsł głową.

— Byłoby niegrzecznością nie stawić się — odparł — muszę pójść.

P. Joachim usłyszawszy to — zamilkł, ręce założył na piersiach i zaczął chodzić po pokoju.

Tak rozmowa się skończyła, ale po niej pozostało coś jakby oczadzenie. Wszyscy czuli się skłopotani. Leokadyi łzy się w oczach kręciły. Nie miała ona nadziei nawrócenia brata. a jednak chciała choć spróbo-

wać jeszcze skłonić go, by zmienił zdanie i poszedł za radą ojca.

Po wieczerzy. gdy się wszyscy porozchodzili — siostra wbiegła do pokoju brata, który się jej spodziewał i był do walki przygotowany. Od pierwszego spojrzenia na ten list, lice Leokadyi gorzało, i można było zaręczyć, że gdyby on jej pierwszej wpadł w ręce, byłaby go nieochybnie zniszczyła.

— A zatem—odezwała się porywczo — idziesz z wizytą do księżny?... To postanowione?

— Muszę—rzekł Celestyn lakonicznie.

— Nie widzę musu — przerwała — widzę tylko chęć wielką zobaczenia... ideału... i wielką słabość w mężczyźnie... Pfe!

Celestyn syknął.

— Masz słabość dla niej — dodała — wiem o tem; dla tego właśnie powinienes unikać jej... Idziesz w ogień! po co? aby więcej cierpieć!

— Czy zawsze tylko własnem cierpieniem mają się mierzyć czynności? Może też i cudze cierpienie wpływać na nie!

Leokadya siadła przy stole, podpierając się na rękach obu i rozrzucając piękne swe włosy ruchami które zdradzały jak była poruszona.

— Nie rozumiem tych ludzi! wykrzyknęła — matki, opiekuna! Widzą, bo nie ślepi, że ona jest zakochana. i zamiast wybić jej to z głowy, w najśmieszniejszy sposób podsycać chcą jej kaprys — który... na który nazwiska nie ma. Bo juścić, nie mogą pomyśleć nawet, aby ją wydać za ciebie! Ściągają na tę biedną istotę potwarze... na ciebie — ohydę... W przyszłości gotują...

Z bólu i gniewu dziewczę płakać zaczęło. Wszystko to nie trafiało do przekonania Celestyna, który słuchał wcale nieporuszony.

Napróżno siostra ze wzrastającą gwałtownością malowała mu następstwo, oburzał się; przemawiała do niego w imię wszystkich uczuć, które musiał szanować — Celestyn nie spierając się z nią, trwał przy swoim...

Rozpłakana wreszcie i zrozpaczona, po próżnych usiłowaniach opuściła izdebkę brata! przy rozstaniu uściskawszy go, jakby żegnała — na zawsze...

Nazajutrz rano Celestyn z nikim się nie widząc, wyszedł z dworku na Pradze. Potrzebował być sam z sobą i do południa przesiedział w ciemnym kącie kawiarni, otaczając się obłokiem dymu.

Dwunasta biła, gdy w przedpokoju oczekujący kamerdyner wprowadził go do salonu.

Widocznie oczekujący tu na niego książę Marcin, który niby siedział nad książką rozłożoną, nie wiedząc nawet jaką, zobaczywszy go powstał żywo i przywitał z przesadzoną grzecznością wielkiego pana, który nią płaci często za niechęć, jaką czuje w sercu dla — plebejusza.

— Nieskończenie — nieskończenie jesteśmy kochanemu panu obowiązani, począł jakąś się aż z pośpiechu — że byłeś tak grzeczny... Księżniczka była nam mocno, mocno chora! Doktor polecił rozerwać się... a jej podobna niczem zabawić... Ona tak lubiła rozmowę seryo z panem...

Celestyn chciał wtrącić coś, tłumaczyć się, gdy książę zagadał natychmiast, umyślnie mu nie dając się odezwać, a tu już żywy, popędliwy krok i szelest

sukni księżny matki słyhać było. która wbiegła jak burza, wprost się rzucając na swą ofiarę. Przywiązanie do córki czyniło ją nieopatrzną. Nie mogła ukryć radości. z jaką widziała Celestyna, bo od wczoraj dręczyła się tem, że odmową zimną zbyć ich może, i że ona narażona będzie na upokarzające błaganie tego człowieka...

Podala rękę Celestynowi nic nie mówiąc, ścisnęła ją i natychmiast zwróciła się ku pokojom córki.

— Jadzia jest ubrana... czeka na profesora... !Proszę ze mną. Była bardzo chora — a! com się ja nadreżyła!... Zmiłuj się, miej litość nad tem dzieckiem. Coś wesołego... czytaj... potrzebuje rozrywki... roztargnienia... Doktor zalecił... Umysł potrzeba oderwać, zająć...

Księżna mówiła zdyszana, urywanemi wyrazami, i nie słuchając Celestyna, który ciągle chciał wcisnąć słówko jakieś. ciągnęła go do pokoju chorej, do sypialni jej, gdyż Jadzia wstać jeszcze z łóżka nie miała siły...

Z dała przez otwarte drzwi widać już ją było, siedzącą. ubraną całą w czerni, bladą. zmienioną, z oczyma powiększonymi. błyszczącemi. Stoliczek z książkami, który panna Klara własnym domysłem przysunęła do łóżka... dziwnie się tu jakoś wydawał...

Na Celestynie ta twarzyczka znana, której on nigdy jeszcze nie widział tak zoranej boleścią, tak znękaną i litość obudzającą, uczyniła wrażenie niezmiernie. Zbladł i on, i zmieszał się przystępując drżący ku niej. Jadzia wyciągnęła do niego rękę. Rumieniec chorobliwy, gorączkowy wystąpił na jej lica...

uśmiechnęła się z jakąś gorączką i z uczuciem odnie-
sionego zwycięstwa...

Czuła się teraz tu panią.

— Siadaj pan — zawołała nakazująco. — Tu, przy
mnie... Proszę mamy, aby nam nie przeszkadzano.
Panna Klara może sobie siedzieć w saloniku jeśli
chce... a my ciągniemy dalej czytania nasze... Proszę
o sonety Mickiewicza—ale —nie Krymskie...

Celestyn nie mógł się nawet odezwać; matka
uradowana dawała mu znaki, aby był posłuszny. Po-
całowała córkę w czoło — obejrzała się po pokoju — i —
wyszła natychmiast.

Jadzia wlepiała oczy w siedzącą naprzeciw ofiarę
swoją. Milczała długo; ale przyspieszony oddech, rę-
ce drżące — wzrok śmielszy niż kiedykolwiek mówiły
za nią. Powtórnie bładą, długą, chudą swą rączkę wy-
ciągnęła do Celestyna, ścisnęła jego dłoń silnie, i gło-
sem niepewnym, ale zdobywającym się na energię, mó-
wić poczęła...

— O małoś mnie pan nie zabił... Tak jest... Ale te-
raz — wszystko skończone... Mama wie, że ja... pana
kocham...

Celestyn przestraszony, oczyma wskazał jej
drzwi, przy których siedziała panna Klara.

— Może słuchać kto chce — dodała śmielej jesz-
cze — ja z tego nie robię tajemnicy... Oddałam ser-
ce — i...

Nie kończąc rękę wyciągnęła znowu... Professor
był jak piornnem rażony...

— Al zapewne, poczęła mówić z pośpiechem i iro-
nią—skandal będzie ogromny! księżniczka wyjdzie za

professora... Ale mają do wyboru lub to, albo moją śmierć!

Oczy jej pałyły...

— Pan nie wierzysz temu? wtrąciła.

Celestyn nie mógł ust otworzyć.

— Kochasz mnie czy nie? dodała.

I nie doczekawszy odpowiedzi zawołała:

— Ja wiem, że kochasz, ja to czuję; mam dosyć energii, aby przeciwko wszystkiemu pójść za sercem...

Był to jakby sen jakiś dziwny, nieprawdopodobny, straszny, dla nieszczęśliwego i szczęśliwego razem młodzieńca, który przewidywał jakieś straszliwe przebudzenie, katastrofę... Jadzia nie puszczała jego ręki... lice się jej rozjaśniało...

— Wiem, rzekła nie mierzając głosu wcale, że będę miała do zwalczenia wiele jeszcze; ale mama mnie zna — ja nie ustąpię. Choroba moja dała mi siłę. Wiem czego chcę, a to czego chcę, spełnić się musi... Serca się nasze rozumieją, — o resztę nie dbam...

W samym początku tego wybuchu, do którego księżniczka się przygotowała zapewne, panna Klara posłyszawszy co Jadzia mówiła, rzuciła się za odchodzącą księżną i zmusiła ją — wysłuchać, co córka podniesionym głosem z energią ciągle wzrastającą, wywoływała. Księżna chociaż знаła Jadzię, do takiego wystąpienia nie była wcale przygotowana. Chciała krzyknąć rozpaczliwie, lecz sił jej zabrakło, i padła podtrzymywana przez pannę Klarę na krzesło — prawie bezprzytomna.

W sam czas zjawił się doktor w progu, aby ją ratować.

Księżniczka tak była zajęta sobą i Celestynem, że nie postrzegła przesuwanego się Landlera, a gdyby go była zobaczyła, może nie byłoby to jej powstrzymało od wyznań, które jak najgłośniejszemi uczynić chciała.

Celestyn potrzebował całej siły ducha, aby nie być ogarnięty tym szaleńcem... od którego serce mu biło... Ile razy usiłował powstrzymać Jadzię, stawiała się gwałtowniejszą jeszcze... Widocznie chciała być nieodwołalnie skompromitowaną.

Scena ta przeciągała się jeszcze, gdy popchnięty przez matkę doktor, wszedł do sypialni. Zdawało się księżnie, iż przytomność jego, córkę potrafi powstrzymać...

— Cieszę się, że panią widzę dziś lepiej.

— A! rozśmiała się Jadzia, wskazując na Celestyna... Znajdujesz mnie pan w tej chwili nawet szczęśliwą... Oto jest mój wybawca, któremu winna tyle, że chyba... ofiarą samej siebie potrafię mu się wywdzięczyć...

Doktor stanął, udając niezmiernie zdziwionego...

— Pan mi dopomożesz do przekonania mamy, że — albo zgadzając się na to, co ma moje szczęście stanowić, ocali mnie, — lub sprzeciwiając się, zabije...

Matka, która słuchała — łkała i płakała tak, że jęk jej dochodził aż tutaj.

Księżniczka chwyciła za dzwonek stojący przy niej i poruszyła nim gwałtownie. Wbiegła panna Klara blada i przelęta.

— Proszę do mnie wezwać mamę i ks. Marcina. odezwała się Jadzia...

Wymówiła to tonem nakazującym, a panna Klara zawahawszy się nieco — wyszła... Księżna otarłszy łzy, sama wybiegła jak na w pół obłąkana do salonu. w którym na nią ksiązę Marcin oczekiwał. Ujrzawszy ją, biedny opiekun, nie wiedząc co się stało, krzyknął z przerażenia...

— Wiesz! zawołała podbiegając i chwytając go za rękę. głosem przerywanym szlochaniem — wiesz! Ona w głos powiedziała mi, że bez niego żyć nie może! O! ja nieszczęśliwa! Co my pocniemy! Ksiązę — ratuj! Dziecko moje! obłąkana — ja nie wiem...

W tem krokiem śpieszonym nadążył doktor do salonu.

— Co się jej stało! zwróciła się do niego matka; szła — obłąkanie!...

— Księżniczka jest najzupełniej przytomna — odrzekł Landler. To było do przewidzenia. Ma energię niezmierną — nie ma sposobu, trzeba się zgodzić z położeniem, dziś już nie do zmienienia... Niech się księżna uspokoi...

Ks. Marcin stał jak słup.

— Szlachcic? czy choć szlachcic? począł bełkotać... Na to odpowiedzi nie było...

— Księżniczka się domaga matki i opiekuna — dodał doktor — idźcie państwo do niej...

Ksiązę się wahał — matka płakała ręce łamiąc, gdy powtórnie panna Klara wpadła z żądaniem koniecznem, aby księżna przybywała.

— Jadzia! o nieszczęsne dziecko moje!

Opiekun opierał się nie uważając przytomności swej za potrzebną — obawiał się odpowiedzialności przed rodziną — drżał cały. Lecz matka nie chciała

ić sama, a wołaniu córki oprzeć się już nie mogła, chwyciła go za rękę i pociągnęła z sobą.

Jadzia miała czas ochłonąć trochę do przybycia matki i opiekuna, nie tracąc wcale energii. Widząc matkę i bladego jak ściana ks. Marcina, z powagą wskazała na — ofiarę swą...

— Oto jest narzeczony mój. rzekła, którego wybrałam sobie... Tak, kochana mamo. Teu lub żaden... Wiem, że się to dziwnie wydawać może, ale moje serce mu oddałam, rękę muszę... Inaczej żyć nie chcę...

— Jadziu! Jadziu! poczęła matka — unosisz się.

— Tak — unoszę się, bo go kocham — odparła księżniczka... Jeśli się nie zgodzicie na to... ja potrafię umrzeć — ale com postanowiła dotrzymam: albo za niego lub za nikogo...

Trącony ręką przez księżnę opiekun. otworzył usta i zaczął coś bełkotać tak niewyraźnie, iż nikt go zrozumieć nie mógł.

W obec matki i jego, księżniczka zdjęła z palca przygotowany pierścionek i wyciągnęła już rękę z nim ku Celestynowi, gdy myśl jej jakaś przyszła dziwna. Spojrzała wyraziście na matkę i wskazała jej wolę swą, aby ona zaręczynną obrączkę sama oddała narzeczonemu. Niepodobna było dalej despotyzmu rozpieszzonego dziecka posunąć. Księżna błagała ją wzrokiem, aby jej tego upokorzenia oszczędziła, nie pomogło nic. Jadzia trzymała pierścionek uporczywie, marszcząc brwi, i biedna matka poddać się musiała.

Celestyn stał jak na mękach. pojmując dobrze, ile ta miłość Jadzi nienawiści zrodzić musi, ilu mę-

czarniami w przyszłości odpokutować przyjdzie za nią. Uciekłby był gdyby mógł, ale dziewczę rozgorączkowane i jego trzymało wzrokiem nakazującym.

Z jakim uczuciem wreszcie księżna zbliżyła się do Celestyna, oddając mu pierścionek córki, opisać trudno. Ks. Marcin stał wryty, czując, że sama przytomność jego czyni go świadkiem wypadku, którego winą spadała w części na niego... Jadzia, która od dawna upatrzyła bardzo prostą obrączkę z niezapominajką na rękę Celestyna, darowaną mu przez siostrę, upomniła się o nią — i natychmiast na palec włożyła...

Dopiero gdy się to wszystko dopełniło, obie ręce swe chude wyciągnęła ku matce, wołając:

— Chodź! chodź!

I z namiętnością rzuciła się jej na szyję, ściskając, całując, pieszcząc, chcąc jej nagrodzić wszystko co ucierpiała. Serce macierzyńskie tak było spragnione tej czułości dziecka, której ono najmniejszej oznaki nie dało jej w przeciągu choroby. iż — na chwilę księżna zapomniła o wszystkiem, rozplakała się szczęściem, przebaczyła i okrywała pocałunkami gorącemi swą jedynaczkę.

Ks. Marcin stojący w pośrodku pokoju, z chustką od nosa w rękę, nie wiedział ani co z sobą, ani co zrobić z oczyma, bał się spojrzeć na Celestyna, nie śmiał na Jadzię, i przypatrywał się tymczasowo końcom butów swoich, wcale nie mroczym...

To, co się tu w tej chwili stało, było niczem — następstwa... jak chmura piorunami brzemienna wisiała przed oczyma jego, a głos jakby z górnych stref wołał mu do uszu:

— Opiekuniel co zrobiłeś z wychowanicą swoją?

Położenie wszystkich osób biorących udział w tej scenie, jakby z dramatu francuskiego wydarłej. było przykre, lecz w najprzykrzejszem może znajdował się Celestyn.

Jadzia zapanowała tak nad nim wybuchem miłości. której się oprzeć nie umiał. że zapomniał o swem stanowisku. o rodzicach. o przyszłości. jaką gotował sobie, o godności własnej. Teraz dopiero z wolna przychodził do siebie, i zimny pot go oblewał.

Jadzia uściskawszy matkę, szepnęła jej na ucho, żeby jej pozwolono jeszcze chwilę z narzeczonym pozostać. Miała z nim wiele do mówienia. Po tem, co się już stało, nie ulegało to trudności żadnej. Księżna nłagodzona znacznie. wzięła pod rękę kuzyna, uśmiechnęła się Celestynowi, krzesło mu wskazując — i wyszli.

Wiedzą to wszyscy z doswiadczenia, jak twarze osób nerwowych nadzwyczajnym, szybkim ulegają zmianom pod wrażeniem tego. co przygnębia i drażni lub rozwesela.

Księżniczka niemal w oczach ze szczęścia czy z odniesionego zwycięstwa stała się znowu odmłodzoną. promieniejącą. Życie jej powracało, siły się wzmacniały. Skinęła na Celestyna. aby się ku niej przybliżył.

— Proszę mnie słuchać — rzekła... Walną bitwę wygrałam wprawdzie, zaskoczywszy nieprzyjaciela, gdy się nie spodziewał napaści; ale wiem dobrze, iż na tem nie koniec jeszcze. Ja dotrwam do końca — ale proszę. abym w was pomoc miała. Będziesz wiele pewno znieść musiał... ale szczęście coś warto..

Odetchnęła nieco.

— Najprzód proszę codzien i to najmniej raz. koniecznie mnie odwiedzać. Powtóre, wcale się nie zrażać tem, że kochana rodzina krzywo na nas, na was i na mnie, patrzeć będzie. Co się tycze wszystkich drobnych szczegółów. ja biorę je na siebie...

Szybko zaczęła szeptać różne przestrogi i rady. tak jak jej na myśl przychodziły, — śmiała się głośno. i — na ostatek kazała Celestynowi odejść, bo czuła się już tak silną, że wstawać chciała.

Nazajutrz miał się stawić. Gdy odchodząc całował ją w rękę, pochyliła się i na czole gorący złożyła pocałunek.

Upojony wyszedł od niej Celestyn. Niemalym nabawiało go strachem spotkanie w salonie matki i ks. Marcina. Zdaje się. iż za wczasu unikając tego przykrego zetknięcia się. uciekli do bocznego gabinetu, którego drzwi były zamknięte. Tak więc Kormanowski mógł się wysunąć nie widząc nikogo, i odetchnął swobodniej, gdy się znalazł w ulicy.

Lecz co go czekało w domu?

Wieczorem tegoż dnia piorunowa wieść o zaręczynach księżniczki z jakimś guwernerem, synem jakiegoś rządcy. chłopcem ubogim. bez rodziny, bez stosunków, — zgromadziła wszystkich bliżej lub dalej z księżną połączonych w domu markizowej Żuliety...

Wprawdzie rzecz się zdawała nieodwołalnie skończona, uświęcona pośrednictwem matki, przytomnością opiekuna — lecz była tak monstrualną. tak oburządzającą, tak upokarzającą dla wszystkich. tyle rachub w niwecz obracała, że począwszy od księżny samej gdy ochłonęła, nikt jeszcze wierzyć nie chciał. aby się to w istocie stać mogło. .

Jednogodnym instynktem familia zbiegła się wieczorem, do przyjaciółki ks. Eufrezyi.

Przez cały dzień szeptano sobie do uszu nieprawdopodobną powieść, którą ks. Marcin wyszedłszy z pałacu, rozniósł po krewnych i powinowatych. Obwiniano matkę, zadawano nieporadność i ciemnogowstwo opiekunowi, gniewano się na księżniczkę — ostatecznie konkludowali najzaciętsi: — nic z tego nie będzie! Od ołtarza się ludzie rozchodzą... Są sposoby tysiące. potrzeba zapobiedz...

Oprócz już nam znanych osób: Żuliety gospodyni domu, — matki, która zostawiwszy na straży paunę Klarę przy córce, zbiegła żalić się. narzekać i tłómaczyć do przyjaciółki, — prócz ks. Marcina obwiniającego teraz wszystkich, aby siebie uniewinnić. ks. Enstachego drwiącego po cichu z tej przygody. którą

jak mówił, delirjum tylko tłómaczyć mogło. — salon był pełen dalszych krewnych, rozciekawionych a gniewnych.

Hrabia i hrabina Kozerscy. których księżna wujem i ciocią nazywała, zajmowali tu pierwsze miejsce. Hrabina Róża, osoba szesćdziesięcio-letnia, wyprostowana, wysznurowana, ogromnego wzrostu, majestatycznej postawy, sławną była z rodowej swej dumy, z pretensyj arystokratycznych i niemniejszych do wielkiej wyższości umysłowej. Polegała ona prawie wyłącznie na doborze słów, na pewnej deklamacyi wymuszonej, która ludziom nieanalizującym treści, w istocie imponować mogła. Sam hrabia Tymoleon mąż jej, człek bardzo bogaty i umiejący nietylko robić, ale trzymać fortunę, mówił mało, — również jednak miał się za znakomitość i powagę jak żona.

Oboje oni zawsze mieli za złe kuzynce Eufrezyi, iż się im powodować nie dawała, mało żyła z nimi, i roztrzepana, gorączkowa szła tylko za własnej fantazyi natchnieniem.

Państwo Kozerscy mieli zamiar jednego z synów swych swatać księżniczce. Próbowali się w tym celu zbliżyć do księżny, ale imponująca hrabina Rosa nie mogła znieść tego, że się ks. Eufrezya jej sprzeciwiała, i waśniły się nienastannie. Prorokowali też i jej córce najstraszniejszą przyszłość, a proroctwo to na nieszczęście prawie się teraz ziściło...

Oprócz państwa Kozerskich, stary książę Herman. skąpiec bezdzietny, od stryjecznych stryjeczny jakiś brat nieboszczyka męża ks. Eufrezyi, znajdował się także. Uważano go za głowę domu, a że słynął z nagromadzonych milionów. kłaniali mu się wszyscy...

Powadze jego ujmowało wiele. iż władze umysłowe, które nigdy wielce rozwinięte nie były, teraz pod starość w najopłakańszym były stanie; książę się zapominał, niekiedy bałamucił. mieszał ludzi i sprawy, a że jedni i drugie dość mu były obojętne, nie zadawał sobie pracy długo się zastanawiać nad nimi.

Po upływie tygodnia, mniej znajomi musieli mu się na nowo prezentować i przypominać. Niekiedy najzabawniejsze popełniał omyłki, gdy słabej swej pamięci zawierzył. Dla tego miał zawsze u boku swego nieodstępnego siostrzeńca, bez żadnego tytułu, pana Jerzego Wejdenreicha, młodzieńca zahukanego, znudzonego i zdającego się na tym chlebie męczeńskim oczekiwać — sukcesyi.

Jerzy Wejdenreich należał do tych, którym się śniła księżniczka Jadwiga. Był słuszny, przystojny. prezentował się dobrze, i to jedno mu zarzucano. że choć się taił, miał do kart passyę. a z tego powodu długi utrapione.

Książę Herman co do zasad arystokratycznych nie ustępował nikomu, a akolita jego miał je wpojone głęboko od dzieciństwa.

W jakim stopniu pokrewieństwa po kądzieli był z domem książęcym pan Rymund, Litwin majątny, niepozorny, rubaszny. który drwił sobie ze wszystkich. udając prostaka — nie umiemy powiedzieć: — nie wypierano go się jednak. Pan Rymund miał znaczne majątności na Litwie i wysoki urząd w Warszawie, co go podwójnie poszanowania godnym czyniło. choć nie lubiono go i żymano się na niego.

Nim jeszcze nadeszła księżna matka, napadli wszyscy zgodnie na ks. Marcina. z taką gwałtowno-

ścią, że zwykle nieumiejący ani polemizować, ani się obronić, opiekun stracił całkowicie przytomność. Syły się wymówki, znosił je zżymając ramionami, oczy podnosząc, ręce wyciągając...

Wodzem wszystkich atakujących ks. Marcina była hrabina Rosa... Głowę wyższą od niego, wyprostowaną, podrażnioną, rozpalającą się coraz mocniej hrabina takimi ruchami komentowała swój występ, iż zdało się, jakby zamierzała zgnieść w końcu przeciwnika. Dla świadków śmiesznem prawie wydawać się musiało, że każdy gwałtowniejszy ruch tych rąk rozmachanych zmuszał ks. Marcina do wyginania się, jakby uderzenia chciał uniknąć.

— Ale proszę księcia, proszę księcia! wołała deklamując hrabina, — przyjąłeś na siebie obowiązki opiekuna, więc za wszystko jesteś odpowiedzialnym. Cóż? malowany byłeś! Wszakże niemal codzień uczęszczałeś do tego domu, znałeś słabość tej ks. Eufrezyi, która dziecku nie umiała nigdy nic odmówić — patrzyłeś na to, gdy przez rok ten jakiś szerepetka sam na sam jej dawał te śliczne lekcye...

— Ale nie sam na sam! zawołał ks. Marcin, którego zagłuszono.

— Co to tam! co to tam! zamruczał tuż siedzący ks. Herman. Winien jesteś! Skandal. ohyda...

— Z tego nic być nie może, wtrącił hrabia Tymoleon... tylko pozostanie właśnie skandal...

— Rzecz monstrualna! odezwała się gospodyni.

— Wprost niemożliwa — rzekł chłodno ks. Eustachy...

— Wszelkimi środkami familia musi oprzeć się, zapobiedz, zakończyła hr. Rosa.

Wśród tej hałaśliwej rozmowy, drzwi się otworzyły i wbiegła księżna. Milczenie nastało nagle. Wchodziła upokorzona, czując się obżalowaną, za wczasu szukając oczyma, ktoby jej tu mógł przyjść w pomoc. a znajdując tylko nadąsane dumnie, niechętne twarze i wejrzenia, i ludzi bezlitośnych a szyderkich... Na twarzy jej zawsze dziwacznie się wykrzywiającej, ból był widoczny. oczy miała zapłakane. oddechu jej brakło. Rzuciła się na pierwsze krzesło wolne. a litościwa gospodyni. widząc ją w tym stanie. wódkę kolońską, którą się leczyła sama. pośpieszyła jej podsunąć. Tyle miano tylko litości nad przygnębiającą, że długo nikt się nie śmiał odezwać; czekano, ażeby sama niemiłą zagaiła sprawę.

Ks. Herman siedzący naprzeciw. dyszał głośno i wzdychał a marszczył się. Opiekun korzystając z chwilowego milczenia, trochę myśli zebrawszy zaczął coś zaczął. Zwrócił się do przybyłej.

— Niechże kuzynka mnie ratuje, bo tu wszyscy na mnie — rzekł. — jak gdybym ja sam był winien. Com ja winien??

Księżna poruszyła ramionami.

— Nikt nie winien — rzekła. — fatalizm! nieszczęście... Któż mógł coś podobnego przewidzieć, wpaść na myśl tę? Nie posądzałam Jadzi... Do dziś dnia tego sobie wytłómaczyć nie umiem...

Hrabina Rosa zbliżyła się do niej, przypominając postawą i wyrazem twarzy tragiczną królową Elżbietę.

— Moja droga — poczęła — dziś już tłómaczyć za późno i do niczego nie prowadzi. Potrzeba zapobiedz temu szaleństwu!

Stary ksiązę Herman głową kiwnął potakująco...
Hrabia Tymoleon zbliżył się. idąc za żoną
i dodał:

— Należy rozerwać... bądź co bądź nie dopuścić...

Ks. Eufrezya, której ta opozycja tak zgodna
przekonaniem zachwiała — cicho szepnęła tylko.

— Byle Jadzia nie przyplaciła tego zdrowiem
i życiem...

— Moja droga — poczęła hrabina Rosa, dając znaki
do koła. aby jej samej głos dano i nieprzerwano. —
pozwól sobie powiedzieć, że... z pewnym taktem po-
stępując, są na wszystko sposoby...

Słuchano w milczeniu uroczystem.

— Rozgorączkowane dziecko zamieniło pierścion-
ki — cóż to znaczy?... mówiła oglądając się hrabina.
Zostawić należy rzeczy w zawieszeniu — a tymczasem
oddziaływać... działać na Jadzię... otworzyć jej oczy...
tego jegomości w oczach jej uczynić śmiesznym.

— Tak, potwierdziła Żulieta — bo śmieszność
zabija.

— Przepraszam — przerwał ks. Eustachy. — nie-
cierpię tego jegomości, mało go znam. lecz co prawda.
prawda — śmiesznym on nie jest. na nieszczęście...

Ks. Eufrezya wtrąciła żywo:

— Wcale nie jest!

— Ale go takim można uczynić zagrzmiał głos
hrabiny, którą małżonek poparł dobitnem:

— Można! zawsze można...

Księżna matka zasunęła się w głąb fotelu, słu-
chała zrezygnowana.

— Pierwszą rzeczą — mówiła dalej dydaktycznym
tonem hr. Rosa — ciągnąć. przeciągać. zwłóczyć...

Tymczasem być nie może, aby coś dobrej sprawie w pomoc nie przyszło...

— Ciągnąć! ciągnąć! rzekł z dala z powagą wielką ks. Herman. Mówi rozumnie — słowo daję. Zwrócił się do Wejdenreicha i spojrział na niego, a ten głowę skinął na znak, iż podziela to przekonanie...

— I to sobie powiedzieć potrzeba z góry — ciągnęła dalej hrabina — powiedzieć stanowczo iż z tego nic nie będzie...

— Nie może i nie będzie — zaakompaniował mąż.

— Nie będzie! wtórował ks. Herman...

Wejdenreich głowę spuścił; ks. Eustachy jak znudzony, album na stoliku leżące zaczął przeglądać.

— Kto najwięcej winien, to doktorowie, słowo daję — poczęła żywo księżna. Tak, bo i Pietraszek i Landler napędzili mi strachu, że idzie o życie! zagrozili obłąkaniem! Dwóch, jednego dnia — toż samo, nie znając się i nie znosząc z sobą — powiedzieli mi. Cóż czynić miałam. Tymczasem zaraz po tem nieszczęściu.. Jadzia wstała — jest prawie zdrowa, siły powróciły...

Ruszano ramionami.

— Moi państwo — dodała z pośpiechem księżna — jestem matką... kto z was ma dzieci i kocha je. kamieniem na mnie nie rzuci...

Majestatyczna Rosa spojrzała na nią z góry.

— Ja ci tylko to powiem, że gdybym córkę miała, a chciałyby mi isć za ekonomeczuka, wołałabym ją widzieć na marach.

Heroiczne to wyrzeczenie powitano uroczystem milczeniem; obejrzała się mówiąca. nikt nie oponował, ale nikt nie przyklaskiwał. Księżna Eufrezya oczy

sobie zakryła, a Żulieta litościwa podała jej znów wódkę koloniską.

— Za naszych dawnych czasów, panie tego, poczał się jąkać ks. Herman... ja wiem jakby postąpiono... Ekonomczukaby tego sprzątnięto i — koniec...

Środek ten nie znalazł sympatycznego przyjęcia w nikim, oprócz obowiązanego do potakiwania Wejdenreicha. Stary zwrócił się ku niemu, znalazł gotowy uśmiech... i tem się zaspokoił.

Ks. Marcin pot ocierał z czoła.

Popatrzawszy na biedną matkę, stojącą naprzeciw niej hr. Rosa obejrzała się, szukając krzesła, kazała je podać Wejdenreichowi i siadła jak najbliższej obżałowanej... Po cichu zaczęła jej coś kłaść do ucha.

Tymczasem towarzystwo się porozdzielało i zaczęto rozmawiać ciszej. Wszyscy ciekawi byli tego — indywiduum, które nagle z nic nieznaczącego przeistoczyło się w tak groźne dla rodziny.

Ks. Marcin zasłyszawszy o czem była mowa, rad, że się czems przysłużyć będzie mógł rodzinie, odezwał się z pośpiechem:

— Ja doskonale znam całą ich procedencję... Za czasów gdy zarządzał dobrami książąt C... Kormanowski...

Imię to pobiegło do nst.

— Kormanowski! Kormanowski! powtarzano z przekąsem, poruszając ramionami.

— Kormanowski, mówił dalej książę, był ulubionym pryncypałowi... Ja go n stołn starego księcia widywałem. i pamiętam, że czasem go nominował: — panie bracie..

— Szlachcie? przerwał ks. Herman.

— Niewątpliwie — dodał Marcin — a i to przypominam sobie, że ksiązę raz, będąc w dobrym humorze, z Paprockiego przypomniał staremu, że Junoszowie Kormanowscy mieli kasztelana w swoim rodzie.

Szmer. szyderskie śmieszki powitały tę powieść ks. Marcina.

— Ale cóż bo znów! oburzyła się hrabina Rosa.

— Proszę mi dać dokończyć — szybko rzekł ks. Marcin. — Pamiętam, że stary rządcą na to odparł księciu: — Mości ksiązę, wolałbym odziedziczyć wioskę niż tytuł po pra-pradziadzie...

— Przecież to kasztelaństwo ksiązę stary, który żartobliwym był — przerwała hrabina — musiał skomponować?

— Nie wiem — mówił Marcin dalej, nie dając sobie odebrać raz zabranego głosu. Nie wiem, ale to wiem. że ze starego ojca tego panicza byli kontenci. Jest to bardzo zacny człęk.

— A syna wychował na intryganta — wybuchnęła hrabina; — bo że to była rachuba i intryga niecna na fantastyczne usposobienie Jadzi, na ślepe przywiązanie do niej matki — to przecie jawne...

Matka, któraby była mogła stanąć w obronie Celestyna, bo najlepiej wiedziała, iż wcale się nie starał o tę miłość Jadzi — nie śmiała się odezwać. Siedziała w myślach pogrążona. Całe towarzystwo zresztą z nią razem przemysliwało teraz nad tem tylko, aby nie dopuścić tak dziwnie im na głowy spadłego małżeństwa.

Hrabia Tymoleon spoglądał na żonę, bo w istocie ona tu była główną sprężyną.

— Kochana moja Frazju, poczęła obracając się do matki. Mogłaś się dać niespodzianemu wybrykowi córki pochwycić — ale teraz. teraz my ci wszyscy pomожemy, wpłyniemy, aby to zerwać.

Zwróciła się do obecnych.

— Słowo sobie dać potrzeba, aby familia, jeżeli się ta plotka rozejdzie po mieście, a rozejść się może, bo ci Kormanowscy umyślnie to rozbębniają — wprost zaprzeczają jak kalumnii, jak bajce!

Wszyscy się zdawali zgodni; jedna matka głęboko zadumana. nie dała życia znaku. Siedziała z głową zwieszoną, z myślami pewnie u łóża córki...

— Jadzia jest jeszcze chora — dodała hrabina. — nie potrzeba do niej puszczać gości, nie dawać jej wychodzić do salonu, dopóki na nią nie wpłyniemy.

Tu się zwróciła nachylając do matki.

— Pozwolisz mi, ja jutro przyjadę. Zostawisz mnie z nią sam na sam, na jakie pół godziny. Jadzia ma bardzo dobrze w głowie, niepodobna żeby mnie nie zrozumiała i żeby to na nią nie oddziaływało. Nie może dla kaprysu jakiegoś dziecinnego kompromitować całej rodziny. Cóż za maryaż! Pani Kormanowska? kto to zna?? A przytem już to samo, że był guwernerem, czy profesorem w domu, rzuca cień, każe się domyslać!

Matka podniosła głowę i twarz zmarszczyła groźnie.

— Ludzie są źli, a tu temat bardzo podatny do haftowania na nim...

Uśmiechała się złośliwie, inni panowie robili miny. jak gdyby domyslałi się w istocie jakichś okropności.

Hrabina zwróciła się do matki.

— Pozwolisz mi przyjechać jutro? spytała.

— Bardzo cię proszę, odpowiedziała księżna — lecz zdaje mi się, że im energiczniej będziemy występowali... znam Jadzię... tem skutek pewniej będzie przeciwny. Na nią jeden sposób, ażeby sama zmieniła postanowienie... zostawić ją swobodną — a prze-wlekać...

Ks. Marcin śmiało potwierdził.

— Tak jest! tak! my ją lepiej znamy.

Nikt zresztą nie zdawał się zdania jego podzielać.

Milczano. Księżna, która już niespokojną była, zostawiwszy córkę samą, wstała i chłodno się żegnać poczęła... Nie zatrzymywano jej, wyszła. Żulieta tylko odprowadziła ją do przedpokoju, i chwilę tam na rozmowie pozostała.

Śmielej się teraz odzywać zaczęły głosy. Ks. Eustaszek opowiadał dowcipnie, jak go Jadzia przyjęła ostatnim razem — jego! jego, którego przecie znali wszyscy, że nie był pierwszym lepszym .

Ruszano ramionami.

— Ale proszę mi powiedzieć. odezwala się hrabina, zwracając do ks. Marcina — cóż ten pan Kormowski, ekonomczuk, ma oprócz ładnej twarzyczki?

— Uczony! bardzo uczony! śmiał się książę Eustachy... Bardzo seryo!... Doskonały komedyant, bo w salonie z daleka można go wziąć za wcale coś dystygowanego... Dopiero z bliska poznaje się ciężkiego pedanta...

— Umie języki? pytała Roza.

— Doskonale i kilka innych — mówił Eustaszek... Oprócz francuzkiego, angielski, włoski, niemiecki...

— Urodził się na pedagoga... mruknęła hrabina.

— A Jadzia na niebieską pończochę — wtrącił Tymoleon...

— Niepojęta rzecz! mruczał ks. Herman... No — książki może lubić — mniejsza o to, ale profesora sobie brać na małżonka!

Znaleziono to dowcipnem, a że ks. Hermanowi coś dowcipnego powiedzieć prawie się nie trafiało, milionerowi zaś każdy chciał dworować, podniesiono głośno to wyrażenie. Księżę spojrzał na Wejdenreicha, jakby mówił:

— A co?

Akolita aż w ręce klaskał.

Wieczór zszedł na paplaninie, na przypuszczeniach, i w końcu prawie wszyscy, oprócz milczącego opiekuna, zgodzili się na to, że skandal jest przykry — ale do skutku przeciw nie przejdzie.

— Namyśli się sama — mówiła hrabina — ja wam rękę... niech mi tylko matka do pieśzczoszki nie broń przystępu... Zobaczycie...

Ks. Marcin nic nie mówiąc, patrzył na nią z pod oka. Zdawał się mówić: — Zobaczysz!

Nazajutrz hrabina Roza, przygotowana już do rozmowy z Jadzią, zajęła przed ganek pałacowy. Księżna czekała na nią w salonie, z twarzą bladą i pomieszaną. Uściskała ją bardzo czule.

— Moja droga Rozo, szepnęła: błagam cię, proszę — Jadzia jeszcze bardzo osłabiona... nie... rozdrażniaj jej, bądź łagodną...

— Proszę cię, bądź spokojna—wiesz, że mi na takcie nie zbywa. Oznajmiłaś jej o mnie? zapytała hrabina.

— Nie—cicho szepnęła matka...

— To lepiej — odezwała się Roza — i nie siadając nawet, pokazała na drzwi. tak jej do Jadwigi pilno było.

Księżniczka siedziała w swoim saloniku na kanapie blada jeszcze, ale z twarzą już ożywioną, wesołą prawie, strojna z wielką elegancją. Spodziewała się może kogo innego, bo zobaczywszy w progu hrabinę, której nie lubiła, skrzywiła się i na matkę popatrzała z wyrzutem. Roza zbliżała się tymczasem, okazując czułość wielką.

— Słyszałam, kochane dziecię — poczęła — że byłaś ciężko chora... Wszyscyśmy dzielili twej matki cierpienie... lecz, dzięki Bogu. widzę, że już wszystko szczęśliwie przeszło...

Jadzia witała zimno natrętną—kuzynkę.

— Tak. w istocie jest mi nieco lepiej.

Hrabina zabrała przy niej miejsce na kanapie, rozsiadła się szeroko, i poczyniała mrugać na matkę. aby je same zostawiła. Księżna znalazła pozór jakiś, i ociągając się wyszła. Wzrok córki ścigał ją wymówką, że sam na sam zostawiała ofiarę z tą nieznośną kaznodziejką.

Jak tylko matka znikła za drzwiami, hrabina przysunęła się do Jadzi, usiłując ująć jej rękę... co się nie udało.

— Moja droga kuzyneczko... proszę cię—zamruczała, głos łagodząc — jakies plotki — ja nie chcę im wierzyć... Co to jest?

Zarnmieniło się samowolne dziewczę.

— Cóż to za plotki? przerwała.

— Ludzie mówią o głupim jakimś... zamążpójściu? ale to nie ma sensu... temu nikt nie wierzy.

Jadzia oczy ciągle trzymała spuszczone, słuchała cierpliwie, na twarz jej tylko wystąpił silny rumieniec gniewu, który tamowała.

Z wolna poczęła podnosić powieki, wpatrzyła się śmiało w hrabinę, i zimno przemówiła:

— Nie wiem o plotkach żadnych—ale w istocie wychodzę za męża. Jestem zaręczona. Zrobiłam wybór, który się dziwnym wydać może, lecz jest to razem serca i rozumu wyborem.

Uśmiechnęła się z dumą i ironią.

— Cóżem winna, że z tych paniczów z mitrami i bez mitr. których mi pokazywano, żaden się nie podobał? Z żadnym z nich rozmowy poprowadzić niepodobna... tak są dziecinni!

Hrabina marszczyć się zaczynała.

— Ma chère! przerwała—można lubić ludzi bardziej seryo, chociaż są okrutnie nudni, gdy się ich na dłużej — ale nie wychodzi się za męża za człowieka... nie naszej kondycji...

— Hrabina znajduje? odparła Jadzia. Ja jestem innego przekonania. Prawa nie ma żadnego...

— Pisanego nie ma, ale są tradycje, zwyczaje, konwenanse przyjęte w świecie, do których należymy, a te szanować musimy...

— Hrabina znajduje! powtórzyła księżniczka ze wzrastającym wyrazem szyderstwa... Ja jestem innego zdania. Mój narzeczony jest człowiek bardzo przyzwoity, miły...

— Proszę cię, ekonomczuk! zawołała hrabina oburzona.

— Szlachcic — odparła księżniczka zimno. Lecz gdyby nim nie był, ponieważ teraz i szlacheetwa i hrabstwa się kupują... kupiłabym mu co potrzeba!

Hrabina, której męża ojciec w istocie kupnym był hrabią, rzuciła się na kanapie... Powstrzymała jednak wzruszenie.

— Jadziu, kochanie moje... rzekła — zastanów się nad tym krokiem... Ani dla ciebie on, ani dla niego nie przyniesie szczęścia; pierwsza ta namiętność czy szal przejdzie... a zostanie żal, zgryzoty...

— Kochana kuzynko — przerwała księżniczka, — wiem bardzo dobrze, choć nie z własnego doświadczenia, że miłość przechodzi i ostyga; ale chcę mieć jej choć jedną chwilkę w życiu...

Hrabina Roza tak była oburzoną i zdumioną śmiałością dziewczęcia, że się już nie mogła odezwać. Załamała rękę...

— Nie! nie — poczęła niewyraźnie, mieszając się i płacząc—to być nie może! My nie wierzymy w to — niepodobna, abyś się wyrzekła rodziny, stosunków... bo...

— Ale, kochana hrabino — odezwała się Jadzia, nabierając śmiałości coraz większej — rodzina! rodzina! wiem to — nadąsa się, a potem, gdy dom otworzymy, przejedna... Mój Celestyn będzie miał za sobą ludzi rozumnych...

— Merci! zawołała wzburzona, podnosząc się z kanapy Roza. Prawdziwie to nie do pojęcia!

Jadwiga nie spuszczała oczu, patrzyła na gniewną z chłodem nad wiek i temperament. Nie gniewa-

ła się już, i nie myślała nawet unikać rozmowy. Czuła cierpliwie.

— Nie! nie! to prawdziwy szal jakiś. to coś tak poczwarnego... wtrąciła zapominając o zwykłej powadze i deklamacyi hrabina, — że... nwierzyć temu trudno... Nie widziszże tego, iż kompromitujesz siebie, i matkę, i dom? Cóż ludzie powiedzą?...

Księżniczka potrząsnęła głową.

— Ludzieby zawsze coś mówili — rzekła Jadzia. Gdybym na przykład wyszła za ks. Eustachego, którego mi zalecano, a musiała z nudów zapraszać dawnego profesora—mówionoby jeszcze gorzej.

Hrabina się zarumieniła.

— A toby ci w oczach świata mniej uwłaczało niż takie — małżeństwo.

— Ale w moich własnych — daleko więcej! zakończyła Jadwiga...

Popatrzały na siebie dwie zapaśnice, z których jedna miała już po za sobą młodość i długie doświadczenie, druga była młodzinchem stworzeniem—i hrabina Roza przekonała się teraz dopiero, że z całą swą powagą i wymową nie. sprostaa energicznemu wyrostkowi.

— Niech się kuzynka uspokoi — dodała z sarkazmem księżniczka. Wypadek ten bezprzykładowym nie jest... mogłabym na wytłómaczenie mnie przypomnieć megaliause...

— Na których żadna z kobiet, co się zapomniała nigdy dobrze nie wyszła. .

— Więc — i ja z rezygnacją czekać będę przeznaczenia... dokończyła Jadzia...

To mówiąc, potarła ręką po czole i zadzwoniła.

Weszła nieśmiało pauna Klara.

— Proszę się dowiedzieć, czy pana Celestyna uie ma w salonie. rzekła, — i zwracając się z nśmiechem do kuzynki szepnęła: — Chciałam go zaprezentować!

Hrabina, która była przysiadła na kanapie, zerwała się żywo. chcąc ją pożegnać, gdy panna Klara powróciła i oznajmiła chłodno, iż — pana Celestyna nie ma dotąd jeszcze.

Mimo wielkiej chęci dalszego nawracania i przekonywania, hrabina, która tak z niczem przecie odjechać nie chciała i siedziała jeszcze — szukała nadaremnie w głowie nowych argumentów.

— A! zakrwawiłaś nam wszystkim serca — odezwała się. Nie masz wyobrażenia, jakie ta wiadomość uczyniła — wstrząśnienie, przerażenie, żal... Ty, ty, która mogłaś aspirować do najświetniejszych partyj. rodem, tytułem, rozumem. młodością — ty! — ale to nie do uwierzenia!!

— Być może — ale dzieją się cuda i trafiają się szale... śmiejąc się obojętnie rzekła Jadzia. Zakochałam się... Gdy hrabina bliżej go poznała możeby mnie uniewinniła. Jest w nim coś tak szlachetnego. iż mu żaden z naszych paniczów nie dorówna... Nie brak mu nic, oprócz tytułu. a ten... kupimy!

Kupnym tym tytułem doprowadziła hrabinę do ostatniej niecierpliwości. Wstała z zagryzionymi ustami.

— Ponieważ ten pan lada chwila spodziewany — a tak bardzo jest uroczy, rzekła — pozwolisz mi się pożegnać. Niebezpieczny człowiek: mimo wieku mojego. lękałabym się zbliżyć do takiego... ideału.

I skłoniwszy się Jadzi, która ją żegnała zimno. z uśmieszkiem na ustach, zasapana poszła do drzwi.

Tu niedaleko — oczekiwała na nią księżna. Zmierzyła ją ciekawemi oczyma; nie potrzebowała pytać: gniewna, zarumieniona twarz wydawała tajemnicę niepowodzenia. Wracała pobita na głowę.

— A co? spytała księżna.

Roza nie chciała się przyznać do klęski, jaka ją spotkała.

— Miałaś słusność rzekła — nie pora jest jeszcze z nią mówić — nadto rozgorączkowana. Lecz, to nie nie dowodzi — to przejdzie.

— Sądzisz? szepnęła matka.

Hrabina nie umiała inaczej się wywinąć, tylko użytym frazesem:

— *Tout passe. tout casse, tout lasse!*

I pochyliwszy się do uścisku, prędko wprost podbiegła do przedpokoju... Rzuciła się do karety, i zawołała:

— Do domu!

Gdy Celestyn po tem npojeniu, w jakie go scena niespodziana z księżniczką wprowadziła, znalazł się sam z sobą — długo nie mógł zebrać myśli i rozplątać tysiąca węzłów, któremi uczuł się skrępowany... Szedł. stawał. powracał, chciał zaraz biec do domu i brakło mu odwagi — przedewszystkiem potrzebował ochłodzić...

Gdy taki piorun uderzy w człowieka i zwicznie mu życie, chociażby otwierał przed nim jasne niebiosy — istota słaba, nawykła iść krokiem powolnym, trwożąca się każdą zmianą gwałtowną — przeraża się szczęściem nawet.

Celestyn więcej był przelękły, niż szczęśliwy... Spoglądał na pierścionek, który miał na palcu, przypominał sobie brzmiące jeszcze w uszach jego wyrazy Jadzi, widział ją przed sobą z tą potęgą uczucia do szalu posuniętą — i w rzeczywistość wierzyć mu się nie chciało.

Wyrzucał sobie słabość — nie miał siły oprzeć się jej, wymódl cierpliwość, czas do przygotowania... Teraz wszystko było skończone. Pierścionek dany w imieniu córki przez matkę, w obec opiekuna, czuł na palcu... Miał jej słowo...

Cóż na to powiedzą rodzice, a szczególnie ten ojciec Spartanin, o którego oporze z góry był przeswiadczony? Co będzie, jeżeli ojciec wyrzeczy się go opuści. nie zechce znać!

W głowie kołowały mu myśli dziwne — upokorzony, przygnębiony, machinalnie siadł do dorożki i kazał jechać do p. Michała.

Nie był pewien czy go zastanie. lecz szło mu o zyskanie na czasie — powrót do domu był dla niego tak strasznym, iż chciał go przynajmniej przeciągnąć.

Trafem, któremu niezupełnie rad był może. pana Michała zastał powracającego z biura i wybierającego się na obiad do rodziców.

Spojrzawszy na niego przyjaciel zakrzyknął:

— Co ci jest? przypadek jaki? chory jesteś?

Celestyn podążył do krzesła, wsparł głowę na rękę.

— Daj mi odetchnąć — rzekł słabym głosem.

Michał ze swą energią, której nigdy nie tracił. stał nad nim z wyrazem politowania.

— Na Boga! — rzekł baba z ciebie. Co ci jest?

Wyrzut ten dotknął żywo Celestyna. zerwał się z krzesła...

— Mam prawo być jak mnie widzisz, pijanym, rzekł — każdy inny w mojem położeniu..

— Cóż się stało?

Celestyn podniósł rękę. ukazując mu pierścion na niej.

— Jest to przed chwilą mi dany zaręczynowy pierścionek księżniczki, który matka mi wręczyła w przytomności opiekuna.

Michał osłupiał.

— Pft! — zawołał po chwilowem milczeniu — żartujesz! czyś oszalał?

— Słowo uczciwego człowieka. Tak jest. .

— Przyznam ci się, kochany Celestynie — odparł Michał chłodno, — że gdybyś tę rękę, którą mi pokazałeś złamał. mniejbym był przerażony, niżeli żeś na nią pozwolił włożyć to ogniwo łańcucha... który cię czyni na całe życie niewolnikiem. Winszuję — ale nie zazdroszczę...

Celestyn stał z wyrazem twarzy w istocie więcej zboliałym niż szczęśliwym...

— Ponieważ rzecz jest dokonana — odezwał się Michał — po harapie trudno już nawoływać... na nic się nie zdało czynić ci uwagi. Ale mi cię z duszy żal... Piekło cię czeka...

Westchnął...

— Księżniczka kocha cię — to rzecz jawna; o niej nie ma co mówić, choć tak gwałtowna miłość jest bardzo. bardzo podejrzana, czy potrwa... księżniczka to najmniejsza rzecz, ale żenisz się ty — szlachetka drobny, bez majątku. z całą tą rodziną, z matką, z ks. Marcinem, Hieronimem et tutti quanti... Nie potrzebuję ci mówić, że to nieprzejednani wrogowie twoi... że dzień ślubu będzie dniem wypowiedzenia ci nieskończonej nigdy wojny...

— Wszystko to jam już sobie powiedział — odparł Celestyn. Na wytłómaczenie moje mam jedno, słuchaj wiernej powieści jak się to stało, i osądź czym mógł postąpić inaczej...

Marcin usiadł, Celestyn ze szczegółami rozpoczął opowiadanie... Miłość księżniczki. jej chorobę, jej niezłomne postanowienie... wszystko żywo odmalował przyjacielowi, który wsparty na ręku. słuchał w milczeniu pogrążony.

— Gdybym cię nie znał — rzekł wysłuchawszy — posądziłbym, że kłamiesz. Wypadek jest nieprawdopodobny... położenie było w istocie trudne, a mimo to...

— Lecz chodziło o życie! przerwał Celestyn. Michał zrobił minę niedowierzającą.

— Gdybyś ty był miał siłę powstrzymania jej, rzekł, mogłoby się to wcale inaczej skończyć. Byłaby ochłoneła... i —

— Ale ja ją kocham! zakrzyknął Celestyn.

— Otóż właśnie — to nieszczęście! rzekł Michał. Skończona rzecz, nie mówmy o tem.

Pomimo tak zamkniętej rozmowy, Celestyn chciał rady, jak miał z ojcem postąpić...

Michał byłby się może zebrał na nią, lecz służący wszedł, wzywając go na obiad na górę. Czekano na niego.

Celestyn prosił, aby mógł pozostać w mieszkaniu i spocząć trochę, a wychodzącemu Michałowi szepnął na ucho:

— Błagam cię — nikomu ani słowa!

Po wyjściu przyjaciela jak skamieniały pozostał w fotelu.

Wracający Michał znalazł go nieporuszonym, tak jak porzucił. Obudzał w nim litość. Szczęście jego miało wszystkie oznaki boleści i przygnębienia. Nie odezwał się litościwy Michał z niczem, coby go bardziej jeszcze rozdrażnić mogło. Mówili o rzeczach zupełnie obojętnych. Dopiero nierychło, gdy Celestyn powtórzył prośbę o zachowanie tajemnicy, Michał poruszył głową i rzekł cicho:

— Jakże tu z tego czynić tajemnicę, o czem już mówi miasto całe?.. Mój ojciec przy obiedzie zaga-
dnął mnie o to pierwszy. Złożyłem się niewiadomo-
ścią. Opowiadał, że w tych kołach, do których nale-
ży księżna i jej rodzina, oburzenie jest posunięte do
najwyższego stopnia — i wszyscy twierdzą, że — to zer-
wanem być musi...

Celestyn pogrążony nie odpowiedział nic... Im
bardziej się zbliżała godzina, w której musiał naresz-
cie powrócić do domu, tem większa go porywała oba-
wa o spotkanie z ojcem... Radby był ciężką tę chwilę
odciągnąć — przewlec jak najdłużej.. Michał mu się
nie sprzeciwiał. i z chęcią pozwolił u siebie pozostać
do zmroku.

Pan Joachim bardzo rzadko widywał kogo, i do
Warszawy nie chodził, chyba zmuszony jakim intere-
sem. Z dawnych stosunków pozostało mu wielu znajo-
mych, których prawie unikał teraz, nie chcąc się na-
rzucać nikomu. Byli to po większej części ludzie mo-
żni, a stary miał dumę ubogiego, który lęka się być
posądzonym o to, że kogoś potrzebować może.

Dnia tego, szczególnym wypadkiem, musiał pan
Joachim iść do adwokata dla uregulowania małego ja-
kiegoś interesu tyčzącego się zastarzałego długu. Wy-
brał się więc za wczasu do miasta, a Żydek z Pragi
podwioził go przez grzeczność aż na drugą stronę Wi-
sły. Tu p. Joachim zsiadłszy pieszo dalej szedł na
Krakowskie.

Było około dziesiątej, gdy się znalazł przed zna-
ną kamienicą. Prawnik kazał mu trochę czekać na
siebie, sprawa potem zajęła blisko godziny. tak, że
gdy p. Joachim się uwolnił, była już owa hora ca-

nonica, o której do kieliszka wódki nawykły uczuł robaka w żołądku...

Znalazła się cniernia blisko.

Wchodząc do niej, p. Joachim spostrzegł dawniej sobie znanego Rymunda, owego krewnego księżny, o którym wspomnieliśmy, iż się na naradzie familijnej znajdował, chociaż mało w niej brał udziału.

Rymund miał litewską naturę rubaszną, i choć pan całą gębą, obyczaj i prostotę zachowywał szlachecką, a w kołach panów braci czuł się swobodniejszym niż między jasnie oświeconymi kolligatami.

P. Joachim chciał uniknąć przypominania się p. Rymundowi, który sam przyszedł do niego i jak najserdeczniej go pozdrowił. Żartowniś wesoły. Litwin rozpoczął rozmowę przy kieliszku, która i starego rozruszała.

Rymund w tej godzinie jeszcze nie był uwiadomiony o scenie, jaka się właśnie odegrywała w pałacu, ale wiedział, że syn p. Joachima dawał lekcye księżniczce i był bardzo ceniony w tym domu. Chcąc staruszkowi powiedzieć rzecz przyjemną, zaczął po szlachecku zagadywać, że piękny chłopiec gotów jeszcze kuzynkę zbałamucić.

Zamiast wziąć to za żart, p. Joachim nasrożył się mocno.

— Wierz mi pan dobrodziej, odparł, że mój syn nadto ma dumy, poczucia godności, a i rozumu wreszcie, żeby o czemś podobnem pomyślał.

Rymund uściskał go i na tem się skończyło.

Ktoś inny ze znajomych pochwycił starego z kolei, i po wyjściu Rymunda p. Joachim usiadłszy, wdał się w długą rozmowę z nim. Zagajona rzecz o ksią-

żetach tych, u których był rządcą, a których kochał bardzo, rozwiązała mu usta. Nie postrzegli się jak dobrą godzinę przegawędzili. bo Joachim gorliwie bronił sławy tych, których chleb jadł, w najmniejszej rzeczy. Już spojrzawszy na zegarek miał się stary wybierać, gdy tylko co widziany Rymund, zamaszysto wpadł do cukierni, a postrzegłszy p. Joachima, chwycił go pod rękę i prawie gwałtem pociągnął z sobą do bocznego pokoiku. którego drzwi zamknął...

Stary pochwycony tak impetycznie, nie mógł zrozumieć czego Rymund chciał od niego, gdy ten obejrzawszy się, zdyszany krzyknął:

— A cóż? nie mówiłem! nie mówiłem!

Litwin był w uniesieniu, trząsł się, choć niepodobna poznać było czy z przestachu, zdziwienia, gniewu czy złośliwej uciechy.

— Cóż? co? zapytał wyrывая mu się i odstępując na krok p. Joachim.

— Wyszedszy ztąd, spotkałem w ulicy ks. Marcina, błędnego jak trup... Waćpana syn zaręczony z księżniczką!

Stary oburzył się z takim gniewem, iż Litwin na krok się cofnął.

— Co to są za żarty! krzyknął...

— Ba! żarty! nie żarty to są, ale najprawdziwsza prawda. Księżniczka virago, zmusiła matkę i opiekuna. Tenże mi sam opowiadał całą scenę zamiany pierścionków...

Rymund podparł się w boki.

— Tak jak mnie żywego widzisz, mówię prawdę! Mdląła moja szanowa kuzyuka. ks. Marciu nieochybnie to odchoruje... Lękam się! aby ks. Hermana nie

tknął paraliż, a hrabina Roza... krew pewnie puści... ale co się stało — *consummatum est!!*

Litwin śmiał się ironicznie.

P. Joachim skamieniały patrzył na niego, a wargi mu się trzęsły i pot okrywał czoło

— Boże — szepnął cicho — odwróć ten kielich ode mnie.

Postawa starca, który naprzód o stół się musiał oprzeć, aby nie paść, a potem runął na krzesło, obudziła politowanie w Rymundzie.

— Czegóż znowu tak desperujecie! zawołał zbliżając się: — ani to pierwszy casus podobny. ani ostatni... Nie ma w tem nieszczęścia...

— Owszem, jeśli to prawdą jest — przerwał wybuchając z całą siłą stary — nieszczęście to jest dla nas takie, że większe nas spotkać nie mogło... Mój syn — mój poczciwy Celestyn posądzony będzie... oczerniony... on, który się o to ani starał, ani marzył o tem. Ale któż uwierzył...

— Słuchaj asindziej — zawołał Rymund biorąc go za rękę — ja com znał księżniczkę i jej matkę. ja pierwszy wierzę, że nie on się starał o to, ale Jadzia go pociągnęła ..

— Nie powinien się dać być pociągnięć — krzyknął p. Joachim. Nie rozumiem wcale tych zaręczyn. o których mi pan mówisz tak seryo... że w końcu nie wiem co trzymać o tem... ale mój syn nie mógł rozporządzać sobą — bezemnie i mojego błogosławieństwa... Z tego nic nie będzie.

Rymund się uśmiechnął dziwnie.

— Daj pokój stary — rzekł, — za daleko zaszło... nie

mieszaj się do tego... Niepotrzebniem ci może pośpieszył to zwiastować, alem wytrzymać nie mógł.

To mówiąc milczącego poklepał po ramieniu, popatrzał na niego z politowaniem, ścisnął jego rękę jak martwą leżącą na stole i wyszedł.

P. Joachim chciał co najprędzej powracać do domu. spodziewając się tam znaleźć Celestyna — burzył się cały i buchał gniewem... O piechotnej wędrówce na Pragę mowy być nie mogło; choć nie miał zwyczaju tego, musiał posłać po dorożkę, i z ciężkością wsiadłszy do niej, ruszył do domu...

Dorożka zajeżdżająca przed dworek była rzeczą tak niezwykłą, że Leokadya wybiegła przelękła naprzeciw ojca, domysłając się przypadku czy choroby. P. Joachim siedział w niej tak blady i zesłabły, że na zapytanie córki, przyznał się, iż mu się źle zrobiło...

Nie chciał wyznać co go tak przygnębiło. Z pomocą córki powoli wszedł do dworku, na którego progu już i żona stała. niespokojnie pytając i ręce łamiąc.

Stary miał oblicze człowieka w istocie chorego, zmienił się strasznie. Zaprowadzono go do pokoju, w którym dwie troskliwe kobiety wymogły, aby się położył. Skarżył się przed niemi na zawrót głowy...

Spytał cicho i nieśmiało o Celestyna; odpowiedziano, że dotąd nie powrócił...

Pani Monika wierząca w rumianek, natychmiast poszła gotować. a Leokadya przy ojcu została.

P. Joachim choć się starał uspokoić i nie dać poznać nic po sobie, zdradzał się oglądaniem ku oknom i pytaniem o syna.

Uderzyło to Leokadyę.

Jesć nie chciał nic. Im dłużej się przeciągało oczekiwanie, a zbliżał się bardziej wieczór, tem stary niespokojniejszym się stawał. Córka napróżno mu tłómaczyła, że Celestyn często się spóźnia. i że w tem nic tak nadzwyczajnego nie ma...

Pani Monika już gotowa była. widząc ten niepokój mężowski, wyjść szukać syna; ale Leokadya przekonała ją. że to byłoby próżno, bo nie mieli żadnej wskazówki, gdzieby znaleźć go można.

Znierzchać zaczęło, a Celestyna nie było jeszcze; stał się wieczór, nadeszła noc prawie, ncichęł przedmieście. ruch ustał... Leokadya wybiegała ciągle na próg, — nie można się go było doczekać. I ją już trwoga ogarniać zaczynała. Wychodziła aż w ulicę sama. nie wiedząc czemu strwożona i drżąca... Opóźnienie Celestyna właśnie dnia tego dawało jej wiele do myślenia.

Już zrozpaczyła prawie czy powróci, gdy usłyszała w dali turkot wózka. a potem szybkie kroki. Po chodzie poznała brata, i aby go uprzedzić. daleko wybiegła naprzeciw. W istocie on to szedł krokiem powolnym. opieszalym — przystając. Zobaczywszy siostrę, jakby zawstydzony zbliżył się do niej.

— Ojciec chory powrócił z miasta zawołała rzucając mu się na szyję. Nie pamiętam go tak niespokojnym jak dziś; jesteśmy przerażeni — dopytnje ciągle o ciebie...

Celestyn stanął.

— O mnie? wyjąknął trwoźnie.

Siostra, która twarzy jego po nocy nie mogła

widzieć, strwożyła się głosem, jakim to wymówił. Domyslała się już czegoś.

Celestyn zamiast śpieszyć—stał wryty.

— Chodźże chodź! zawołała Leokadya...

Brat ociągał się jeszcze...

— Celestynie—odezwała się nagle—w tem wszystkim ja coś przeczuwam, widzę. Mów mi, co się stało? Ojciec musiał jakąś wiadomość przywieźć z miasta.

— Jak to? ojciec miałby już wiedzieć! zawołał brat...

— Ale o czemże na Boga! krzyknęła Leokadya i ręce załamała.

Milczał, nic nie odpowiadając Celestyn.

— Nie róbże przedemną tajemnic... nagiła.

Ociągającego się jeszcze pociągnęła gwałtem ku dworcowi.

W sieni zaledwie dały się słyszeć kroki, gdy ze swej izby p. Joachim donośnym głosem zawołał:

— Celestyn...

Zadrżeli oboje. Wyraz, z jakim wymówił to ojciec, był nakazujący i groźny... Leokadya zmiarkowała, że musi brata wpuścić samego, i pokornie została u drzwi.

Gdy się one otworzyły, spostrzegła starca siedzącego na łóżku, z oczyma wlepionemi we wchodzącego brata. Tem podobien był do winowajcy, który przed sędzią ma stanąć.

Ojciec zmierzył go wzrokiem sięgającym do głębi duszy...

— Celestynie—odezwał się—tłómacz mi się.. objaśnij.. głupią jakąś wieścią zabito mnie w mieście. Co

to za plotki? jaką to potwarz rzucono na ciebie?... Ty—zareczony z księżniczką? Ty? Co to jest! Celestynie... mów... patrz co się ze mną dzieje?

Widok drżącego starca z razu Celestynowi odjął mowę... Powoli potrzebował zebrać myśli...

Zbliżył się ku niemu, i rękę jego ująwszy, pocałował ją.

— Posłuchaj mnie, rzekł, nie sądź i nie potępiaj. Nie jestem winien, choć ci się takim wydaj. Wyśłuchaj i zrozumiej, bądź cierpliwy; zawyrokujesz później, czy syn twój jest występny — czy ofiarą jakiejś fatalności niepojętej.

Starzec nic nie odpowiedział.

Głosem słabym z początku, Celestyn począł od pierwszych swych lekcij w domu księżny i pierwocin tego stosunku, w który go niepohamowana w swych fantazyach księżniczka wciągnęła... Nie taił nic... aż do ostatniego swojego kroku, o którym ojciec był uwiadomiony; naostatek z największymi szczegółami opisał mu tę scenę — w której odegrał rolę tak bierną na inną się zdobyć nie mogąc.

— Cóżem miał uczynić? Przyznaję się — dodał — kochałem ją i kocham, ale ani jej, ani nikomu w świecie nie dał tego poznać. Zobaczywszy ją chorą, wymizerowaną, bladą, nieszczęśliwą, nie mogłem zdobyć się na opór, obawiając się najgorszych skutków... Jeżeli winien... to winna natura moja, która mi siły nie dała do tak strasznej walki z sercem kobiety... Odepchnąć jej nie umiałem.

Spuścił głowę — głos mu osłabł.

Stary słuchał pogrążony, i począł płakać, żywo ocierając łzy... Nie mówił nic długo... Skinął ręką...

— Byłeś moją jedyną nadzieją i chlubą — odezwał się nareszcie. — a dziś — jesteś straconym dla mnie dla nas, dla siebie... Nie chcę cię sądzić, ani starym obyczajem kłutwą cię moją przestraszać. Potępić nie miałbym siły — przekląć nie potrafię; a jednak, Celestynie — między tobą a nami przepaść staje od dziś dnia. Jesteś mi prawie obcy... Boleję nad tobą — a pobłażać ci równie jak potępiać nie godzi mi się...

Oderwałeś się od nas, albo raczej obca zuchwała dłoń oderwała cię od łona naszego... A co za losy cię czekają!

Zamilkł, jęknąwszy.

— Miłość! miłość! dodał — to dla was młodych owa ultima ratio, którą gdy postawicie naprzeciw światu, prawu, rodzinie, — wszystko musi przed nią skłonić głowę... Miłość! Tak potężne to uczucie — ależ nie starczy na życie całe... a wy za nią oddajecie wszystko...

Celestyn stał już się nie tłumacząc...

— Co dalej będzie — odezwał się p. Joachim — ja ani wiem, ani przewidzieć mogę. Stanie się to, czego ta nieszczęsna zwodnica chciała: będziesz męczennikiem, a dla mnie, powtarzam, tyś stracony... Zerwie się ten związek, bo o to rodzina starać się musi wszelkimi siłami, a siły jej są wielkie i rozliczne — zostanie plama niezasłużona.

— Zakończył wykrzykiem: O! nieszczęsna godzina, gdyś wstąpił na próg tego domu!...

Celestyn, chociaż znał ojca, obawiał się więcej wybuchu gniewu jego niż takiego końca...

Padł na kolana przed starym...

— Przebac mi.

P. Joachim w głowę go pocałował.

— Idź — rzekł..

Posłuszny już miał odejść — gdy niewyraźny głos ze łkaniem pomieszany usłyszał. Stary wyciągał ręce do syna, aby go raz jeszcze uścisnąć i pożegnać. Twarz jego zmieniona boleścią, gwałtownym woli wysiłkiem przybierała wyraz powagi surowej, która jej była zwykłą.

Przycisnąwszy do piersi syna, p. Joachim odtrącił go z lekka:

— Uczyniłeś po dobrej woli, czy zmuszony. bez rady mej i zgody — to, na co ja ani zezwolić nie mogę, ani pobłogosławić.. Nie moja wina, ale rozstać się musimy, bo przyszłości tej nie wierzę i protestować muszę.

Pomilczawszy stary dodał:

— Musimy się rozstać; o tem co się stało ja wiedzieć nie chcę... bądź swobodny..

Znowu słów mu zabrakło.

— Miałem zawsze zamiar wyposażyć cię. dodał — dziś staje się to koniecznością... Cały, jedyny fundusz przeznaczony dla ciebie, składa się z tysiąca dukatów... Leżą one od niedawna w gotówce, bo trafić chciałem, żem je podniósł na Ś. Jan, a umieścić nie miałem czasu jeszcze. Weź je sobie... W dzisiejszem twem położeniu bez grosza być — upokorzenie większe jeszcze; tego ci oszczędzić muszę. Przepadnie ten grosz ciężką pracą uciulany — mniejsza o to, gdyby nim swobodę i cześć okupić można. Być może, iż familia postara się was rozerwać jeszcze... Natenczas powrócisz do nas... Oby się to stało!

Celestyn przeciwko zabraniu przeznaczonego mu kapitału, zaprotestował gorąco. — Ojca twarz się zarumieniła gniewnie.

— Pod błogosławieństwem ci nakazuję wziąć — zawołał — inaczej byłbyś na łasce ich... tego ja znieść nie mogę... Z głodu nie umrzemy... trzeba ci męczarni oszczędzić. Lecz — dodał z rosnącą energią — widywać się nie możemy i nie będziemy, aż dopóki wszystko się nie skończy...

To mówiąc wstał p. Joachim, dobył kluczy i powtórzył głosem poruszonym: — Pod błogosławieństwem! pod błogosławieństwem! Bierz i — niech Bóg ma miłosierdzie nad tobą, biedna ofiaro...

Drżącymi rękami dobył stary pieniędzy i gwałtem je wcisnął Celestynowi, — łązy mu się zakręciły w oczach, wskazał na drzwi...

Tu więcej wzburzona niż rozczulona czekała Leokadya... Drzwi niedomknięte pozwoliły jej całą wysłuchać rozmowę. Zdumiona była postępowaniem ojca, a niemal gniewna na brata, nad którym nawet litość jej osłabła bardzo. Obwiniła go o nieprzebaczoną słabość...

Gdy Celestyn krokiem niepewnym, przygnębiony wysunął się od ojca, Leokadya przyjęła go, z dala stojąc, surowem wejrzeniem wynówek pełnem. Z dala poczęła iść za nim do jego izdebki.

Tu stanęła w progu — nie cisnąć się jak dawniej do Celestyna.

Poznać mógł, że w sercu jej zaszła zmiana uczuć dla niego.

— Tak więc — odezwała się ponuro — poświęciłeś jej wszystko... Ojca, matkę. — o sobie nie mówię, bo

ja czemu dla ciebie jestem?.. Poświęciłeś siebie, przyszłość... Wszystko to dla zdziwaczałego dziewczęcia, któremu w chwili fantazyi zachciało się postawić na przekór całej rodzinie, a ciebie uczynić męczennikiem! Wszystko dla niej! Wszystko dla tej...

Nie dokończyła Leokadya, patrzyła potrząsając głową. Celestyn nie miał odpowiedzieć czasu, gdy matka niespokojna, domysławiająca się już czegoś, weszła do pokoju syna, a znalazłszy córkę z tak zmienionym wyrazem twarzy, syna z głową w rękach zwieszoną nad stołem... podbiegła ku Celestynowi, dopominając się z niezwykłą sobie energią, aby przed nią tajemnic nie czyniono.

— Mówcież mi przecież zaraz, co się tu dzieje? poczęła. Jakieś tajemnice przedemną robicie wszyscy, nie wyjmując jegomości! Przecież ja wiedzieć powinnam, czego płaczecie i co was boli!

Ręce łamiąc stała nad synem, który począł od uspakajania:

— Niech się mama nie trwoży — rzekł... ja winienem wszystkiemu temu i ja jeden odpokutuję. Ja...

Pani Monika odwróciła się do Leokadyi.

— Gadajcież mi co to jest? na rany Chrystusowe! Zagadki, zagadki... a ja ich rozwiązywać nie umiem.

Leokadyi oczy były oschłe — ale gniew nią miotał!

— Mama się mogła domysleć — rzekła, — że tu idzie o tę nieszczęsną księżniczkę i Celestyna... Oto rozpieszczone dziewczę pokochało się w pannę profesorze — i — nie wiem — podobno myśli go obdarzyć swą rączką...

Leokadya mówiła szydersko i namiętnie, spodziewając się, że to na matce uczyni takie wrażenie jak na ojcu i na niej. Zdziwiła się, widząc niemal radość tylko niespokojną w twarzy matki, która się zwróciła do Celestyna.

— No, to cóż znowu w tem tak straszego i osobliwszego widzicie? odparła. A to mi się podoba? Cóż to? Celestyn nasz nie wart choćby i księżniczki, albo nie może ona wyjść za niego! A to — dobrze! Czegoż znowu desperować!

To mówiąc pani Monika zbliżyła się do syna i ścisnąć go zaczęła...

— Dajcież bo pokój tym fochom i dąsom — dodała żywo... Wszystko to egoizm, egoizm... Zdaje się wam, że Celestyna wam odbiorą i on się nas wyrzec będzie musiał dla niej... Najprzód wierzę, że pocziwe dziecko nas nie porzuci i nie zapomni, a potem choćby i siebie poświęcić dla niego przyszło?

Ruszyła ramionami.

— Duma i egoizm! dodała.

Obróciła się znów do syna przybliżając:

— Mów że ty? prawda to? jakże się to stało?

Zamiast odpowiedzi, Celestyn jakby mimowoli pokazał matce pierścionek, a ta w ręce uderzyła:

— Więc zaręczeni jesteście!

Lice się jej uradowało. Leokadya z politowaniem i gniewem spoglądała na matkę.

— Niech mama lepiej pójdzie oica pocieszyć... rzekła... Biedny ojciec!

— Ale bo wszyscy, nie wyjmując jegomości, który tyle ma rozumu, potraciliście głowy, jakby się nie

wiem co stało nadzwyczajnego. Toż prosta rzecz! mruknęła pani Monika, i po namyśle niewielkim wymknęła się, spiesząc do męża...

U pani Żuliety wieczorem w kilka tygodni po opisanych wypadkach zgromadzeni byli znowu wszyscy ci członkowie rodziny, których tu widzieliśmy pierwszym razem naradzających się i narzekających na niepojęty wybryk księżniczki Jadwigi. Stało naówczas na tem, iż wszelkimi możliwymi środkami familia starać się miała o rozerwanie małżeństwa projektowanego które jako poczarne i niemożliwe jednoznacznie obwołano.

W środkach tych w ciągu upłynionego czasu nie przebierano zapewne, jednakże po twarzach osób zebranych nie widać było najmniejszej oznaki zwycięstwa ani jego nadziei. Lica były chmurne, nadęsane, smutne; milczenie długie świadczyło, że rozmowa się wyczerpała, zostawując po sobie kwasy i wzajemne nrazy.

Nawet łagodny zwykle i akkomodujący się ks. Marcin, gotowy do największych ofiar dla miłego spokoju, chodził wzburzony po salonie, trąc włosy nie-

cierpliwie, i wzdychając jakby wzywał Niebios pomocy.

Księżę Herman, który mówić nie umiał i nie lubił, razem z Rymundem i akolitą swym Jerzym. siedzieli posepni przy stoliku whista, nad grą rozpoczętą. do której on jeden tylko zdał się większą przywiązywać wagę. Rymund złośliwie spoglądał po przytomnych. Jerzy ciekawie podsłuchiwał, azali się kto z czem nie wyrwie.

Lecz milczenie ciężkie trwało długo uparte, przerywane tylko westchnieniami nietłumionemi ks. Marcina. A nad tym nietylko się nikt nie litował, ale na niego z pewnem szyderstwem spoglądano...

Księżny matki nie było... Ks. Eustachy uśmiechał się z porozumieniem jakimś do gospodyni domu. zakrapiającej się wódką kolońską i ocierającej pot z czoła. Była nznójona i podrażniona. Nowym w salonie był syn gospodyni, młody dyplomata przybyły chwilowo do matki — pono w interesie kieszeni. gdyż życie w Brnkselli. gdzie nowicyat odbywał, kosztowało dno, a pokusy małego tego Paryża były zbyt nęcące, aby się im dwndziestoletni młodzieniec mógł oprzeć zwycięzko.

Był to młody, ładny chłopak. nieco znudzonej twarzy, kosmopolitycznej powierzchowności, elegant. trochę dumny i najmniej się pono interesujący tem, co tu wszystkie nmysły i serca poruszało. Nawet go to rozerwać nie mogło...

Po dość długiem milczeniu, ponury głos siedzącego z kartami w ręku ks. Hermana zamruczał:

— Widziałeś przecię, że inwitowałem w piki?

Rymund, do którego się stosowała ta wymówka, uśmiechnął się.

— Nie zrozumiałem inwitacyi, odparł. — i godzi mi się to przebaczyć, bom cały był sercem i duszą w kondolencyach nad naszą familijną katastrofą!

Szydersko naśladując wzdychania ks. Marcina, Rymund także tchnął i prychnął śmiechem...

— Nie o naszego robra tu chodzi, któryśmy na głowę przegrali — dodał, ale o klęskę poniesioną na innym polu... Mielśmy *viribus unitis* murem stanąć przeciwko księżniczce Jadwidze i jej nieszczęśliwej matce, przeciw temu obrzydłemu p. Celestynowi, mieliśmy poruszyć wszystkie sprężyny, ruszyliśmy je, i tak się nam nie powiodła kampania... Pobic! pobic na głowę!

Mówił niby dzielając uczucia rodziny, lecz w istocie z nich szydził. Ale znano go jako człowieka wszystko w świecie, nawet własne nieprzyjemności, nawykłego w żart obracać — i nie miał mu nikt tego za złe.

— Księżniczce Jadwidze — wtrącił głośno Eustaszek — potrzeba przyznać siłę woli i wytrwałość doprawdy godną lepszej sprawy...

— Przepraszam, że ja moje zdanie powtórzę — rzekł stając księżę Marcin.

— Moje! z przyciskiem szepnął Eustaszek. spoglądając na gospodynię.

— Ja zawsze mówiłem, ciągnął dalej opiekun — bom znał *pupillę* moją, że opór w niej wywoła tylko upór... To było do przewidzenia... Tymczasem starano się ją drażnić, i stało się com przepowiadał: spętowano w niej tylko samowolę!

— Dziewczyzna bo wprost oszalała, poczęła siedząca na kanapie hrabina Roza. Mówić z nią rozsądnie nie można. Rozkochana jest w nim tak, że, słowo dając, wiem to od panny Klary i od matki — ona! ona go po rękach całuje! Ktoż to coś podobnego widział przed ślubem!...

— Ja znajduję, że to bardzo dobry znak — rzekł szydersko książę Eustaszek... Po ślubie wprędce się jej sprzykrzy. I dziś — jak się mnie zdaje — już potrzeba z rezygnacją patrzeć na ten mariaż. starając się tylko, aby go później jak najrychlej rozbić...

— No — nie wiem — odezwała się Żulieta. Prawda, że te gwałtowne przywiązania z natury swej są krótko trwałe — ale pierwsza miłość... no! i także ładny chłopiec...

— Co za ładny? mruknął ks. Herman, oczu od kart nie odrywając... Lalka sztywna... lalka...

— A no, rzekł Rymund — piękności mu zaprzeczyć niepodobna — no — i nie głupi — i w salonie jakby się do niego rodził.

— Bardzo przepraszam — wtrącił żywo ks. Eustachy. Są pewne odcienie, które tylko bystrzejszy wzrok chwytą...

— A ja go nie mam? zapytał Rymund.

— Nie, szanowny Litwin go nie masz — odparł śmiejąc się Enstaszek... Dla nas zaś ów pan Celestyn, mimo że gra nieźle swą rolę, na pierwszym kroku zdradza się jako intruz. Uważałem — dodał z uśmiechem — że narzeczoną, której bardzo idzie o to, aby wyglądał dystygowanym. ciągle po trosze musztrować musi...

Ks. Herman. który słuchał trochę, trzymając karty do zadania w ręku — spytał chodzącego Marcina:

— No, więc kiedyż wesele? kiedy?

Opiekun stanął, z lekka potrząsając ramionami...

— Indult się wyrabia — rzekł...

— Toć przecież indultowi mogliście przeszkodzić — dodał Herman.

— A mogli, zamraczał mąż hrabiny Rozy — pewnie że mogli.

— Zwlec mogliśmy — rzekł ks. Marcin, — a przeszkodzić nie było sposobu. Zresztą matka płacze i powiada, że już dłużej Jadzi się sprzeciwiać nie może, — a dziewczyna gotowa na wszystko...

— Wszystko!! powtórzył ks. Herman. — Waćpan bijesz moje kiery?

— Biję, bo słucham o indulcie! odparł Rymund.

— Dzisiejsza taktyka — począł Eustaszek, — powinna się ograniczyć do tego, by nieunikniouy ów mariaż przyspieszyć, a potem go jak najrychlej doprowadzić do absurdu....

Rymund głośno się rozśmiał.

— A potem z rozwódką w. książęca mość gotów się jesteś ożenić? zapytał.

Eustaszek ruszył ramionami...

— Więc kiedyż, gdzie i jak ten ślub? pytał z oburzeniem hr. Tymoleon.

— Wprędce — wprędce — westchnął ks. Marciu; — ja tam nie wiem, ks. Jadwiga stanowi o tem, a matka na wszystko się zgadza... W początkach, dodał, moja pupilka życzyła sobie na złość nam wszystkim ślub

i wesele jak najświetniej obchodzić; teraz, podobno za wpływem państwa młodego, zmieniło się to. i ślub mają brać rano w kapliczce pałacowej, w przytomności nie wielu zaproszonych świadków, a potem zaraz wyjeżdżają — nie wiem dokąd...

— Otóż — zawołał hr. Tymoleon, — ci, których uparta księżniczka zechce powołać na świadków i raczy ich zaprosić, powinni się zdobyć na cywilną odwagę — i — nie przybyć...

— A! rozśmiał się Rymund, to będzie jak z uczcią ewangeliczną: państwa gotowa z ulicy sprowadzić sobie pierwszych lepszych...

— Jakie małżeństwo, tacy świadkowie, z przekąsem dokończył hrabia Tymoleon.

Ks. Herman grający ciągle, lecz ciekawy tego dnia wyjątkowo, począł się jękać, zwróciwszy do Marcina...

— A! tego? jak się zowie? cóż z majątkiem księżny? jakie rozporządzenia? Opiekun... więc...

Kiwnął głową, nie kończąc.

— Verbm personae! zamruczał nśmiechnięty Rymund. To, w istocie ciekawe...

— Księżna matka, odezwał się opiekun, ma, jak wiadomo, dożywocie na całym majątku, może więc wydzielić dziś co zechce... ale słabość jej dla córki...

— Cóż jej da? co? podchwycił hr. Tymoleon...

— Klucz Zbiski to już nie ma wątpliwości — rzekł ks. Marcin — zupełnie się go chce zrzec, sobie zostawiając tylko Niedzielice i Pachnówkę...

— Prawie połowę — odparł świadomy wartości Rymund...

— Toby było niczem, ale księżniczka co narzeczonego po rękach całuje, wtrąciła hrabina Roza. nie ma wątpliwości, że mężowi porobi zapisy... Nie oparliście się jej w jednym, to i w tem nie potraficie.

— Ja sądzę, że on by ich nie przyjął! rzekł ks. Marcin.

Śmiech wybuchł i zmieszał go; tylko Rymund namarszczony, potwierdził zdanie opiekuna.

— I ja jestem tego zdania!...

Ruszano ramionami...

— Zagarnie on wszystko — dodał cicho książę Herman...

— A gdyby i prawnie się nic nie zrobiło — począł ks. Eustachy — to! to! księżniczka ma gusta i fantazyje pańskie, a ten chłystek głodny wszystkiego czego nie kosztował, pewnie jej prędzej dopomoże do trwonienia niż powstrzyma...

— A pałacyk w Warszawie? zapytał Tymoleon, — czy księżna sobie ekscypowała?

— Zdaje się, że nie... rzekł opiekun. Jak tylko z wycieczki powróci małżeństwo, księżna chce mieszkać z nimi...

Spoglądano po sobie...

— Ja tylko za to ręczę i gotowem zakład trzymać — wstając z krzesła, zaintonował Eastaszek — że wszystko to nie potrwa długo... Romans to wcale co innego, można go jakiś czas prowadzić bez wstępu z ładną garderobianą i z przystojnym pisarzem prowentowym, ale pożycie rzecz różna; w niem występują doniero sprzeczności obyczaju, pojęć, i ktoś taki jak ks.niczka Jadwiga rychło się przesyci Antinousem

— Zakończ...

Rymund milcząco wskazał na mówiącego, który udał, że tego nie widzi...

— Wszystko to, z politowaniem poczęła gospodyni domu — są przypuszczenia... domysły... Wszakżeśmy długo w rzeczywistość tego związku uwierzyć nie chcieli... Tymczasem ona postawiła na swoim.

— Ale jeszcze bo nie — przerwał hr. Tymoleon. — Ba! ludzie się od ołtarza rozchodzą...

Uwadze tej towarzyszyła mina tak znacząca i tajemnicza, iż wszyscy się zwrócili ku mówiącemu. spodziewając się posłyszeć coś więcej.

Hrabia chrząknął i zamilkł.

— A o tem żeście państwo słyszeli — ozwał się ks. Marcin, który tego dnia dziwnie był gadatliwy, — że księżniczka powołała sama kogoś z heroldyi i kazała formalną genealogię Kormanowskich wygotować!!

Ks. Eustachy zrobił minę szyderską.

— Cóż tedy? doszli do tego bajecznego pana kasztelana?... spytał.

— Doszli — doszli — jest i jeden ks. officyał, i urzędników różnych co niemiara...

— Cóż to kosztowało? wtrącił złośliwie hrabia Tymoleon... boć genealogie takie darmo nie przychodzą?

Rymund z pewną złośliwością od kart się odwrócił do pytającego i potwierdził.

— Pewno — hrabia to wiesz dobrze! Żona zagadniętego tak niegrzecznie, zarumieniła się; on sam udał, że nie rozumie.

— Ja, powtarzam — dokończył ks. Eustachy, — że istotnie z uwielbieniem jestem dla tej Jadzi... Proszę, gdyby to inaczej było pokierowane, co za determi-

nacya, jaka siła postanowienia, co za przytomność umysłu!!

— Przymioty cenne bardzo — zapewne, pośpiesznie zawołała hr. Roza, — tylko dla męża niewygodne... Rola jego w przyszłości nie do pozazdrosczenia...

— Ale hrabina sama powiadasz, że go po rękach całuje! odparł Eustaszek.

— I będzie go całowała po rękach, a za nos prowadziła...

— Innej też roli taki jegomość się spodziewać nie mógł — rzekł hr. Tymoleon; — miejsce jego pod pantoflem...

Gospodyni powąchała wody kolońskiej; spojrzała na syna znacząco i z czułością szepnęła:

— My biedne matki, co kochamy nasze dzieci... — uczymy je za wczasu... być despotami...

Dyplomata w uśmiechu ukrył ziewanie. Wszystkie te sprawy familijne mało go obchodziły.

Rozmowa po raz wtóry wyczerpana byłaby może zmieniła kierunek, gdyby w tej chwili nie zaszeleściło we drzwiach i księżna Eufrezya z pośpiechem nie wkroczyła do salonu. Biedna ta zawojowana matka, miała twarz tak wesołą, ożywioną, jakiej od dawna u niej nie widywano...

Dla niej wszystko już było zwyciężone i skończone, ofiara miłości własnej dokonana. Widziała córkę szczęśliwą, karmiona była codziennie wdzięcznemi jej uściskami — nie pragnęła więcej. Rada była przyspieszyć rozwiązanie. podróż poweselną, aby te swoje, jak je nazywała, dzieci, widzieć co prędzej z powrotem. Krzątała się więc niezmiennie około

przygotowań, i opór rodziny już ją tylko niecierpliwił.

Gospodyni z pośpiechem podeszła na jej powitanie. ks. Marcin także zbliżył się dla ucałowania rącek. Reszta towarzystwa z podbudzoną ciekawością, ale chłodno ją przyjęła...

— Jeżeliście państwo nas ogadywali, śmiejąc się poczęła wchodząca, — niechże nie przeszkadzam. Wiem, że na mnie i na tę biedną Jadzię rzucacie piórny, ale myśmy się już z tem oswoiły...

Obejrzała się księżna dokoła i siadła.

— Ja już tylko pana Boga proszę. mówiła żywo, — aby co rychlej wszystko się skończyło. Doktor Landler podróż na południe dla Jadzi znajduje bardzo pożądaną i potrzebną. Dziecko temi wszystkimi historyami tak jest znękanę...

Wyzywała oczyma księżna odpowiedź jakąś. ale Roza zaciwała wargi, ks. Herman patrzył i głową kiwał, ks. Eustaszek śmiał się złośliwie.

— Dzieci wyjadą do Włoch, ciągnęła dalej, — a ja tymczasem skończę im dom urządzić na wsi, bo podobno Jadzia w mieście nie myśli mieszkać, a ja za nimi też pociągnę... Dom stary, obszerny. ale musi być bardzo opuszczony, będę miała dużo do czynienia, to mnie rozewie...

Nikt nic nie odpowiadał.

— Żulieta, co ma tyle gustu. dodała księżna — a zajęcie jej tu żadne nie trzyma — powinnyby jak tylko syn wyjedzie, ulitować się nademną i towarzyszyć mi na wieś.

Słuchano z ciekawością księżny, która mówiła tak jakby uniknąć chciała jakiejs niemiłej zaczepki od

familii. Ks. Herman patrzył na nią pilno, żując coś i przygotowując się do zagadnięcia.

— A to prawda — podniósł głos, — że księżna córce klucz Zbiski oddajesz? he?

— Choćby wszystko co mam! zawołała wyzwana. Miłości Jadzi dla mnie jestem pewna... nie zabraknie mi przy niej nic — niechże sobie gospodarują.

— Tak — i tracą! dodał niegrzeczny milioner...

— Dla czegoż mają tracić?

— Bo, mościa księżno, kto się w pocie czoła nie dorabiał grosza. a cudzy pochwyci, uszanować go nie umie... Hołyszowi gdy się co dostanie...

Zarumieniła się mocno ks. Eufrezya.

— Ja o moim przyszłym zięciu trzymam lepiej — rzekła sncho.

— Ona już w nim rozkochana jak córka — szepnęła hr. Roza mężowi do ucha... Trudno jej perswadować.

W istocie żywa i podrażniona matka, stając w obronie córki, gotowa była i przyszłego zięcia bronić. Miała do niego żal wielki, nie cierpiała go, — ale przed obcymi musiała brać stronę znienawidzonego. I jej cała milcząca nadzieja na tem polegała. że małżeństwo to rozwieść potrafi.

Krótko zabawiwszy u Żuliety. bo czuła, że była otoczona ludźmi nieprzyjaznymi. księżna okazując im. że małą do tego przywiązuje wagę, prawie nie przemówiwszy do hrabiny Rozy. z daleka głową ledwie pożegnawszy resztę gości — wyszła gniewna.

Smutno było we dworcu na Pradze. smutno jak w grobie od czasu jak Celestyn do miasta się wynieść był zmuszony. Ojciec widywać go nie chciał; matka stęskniona narzekając na to zalewała się łzami, lecz wolę męża nawykła była szanować. Leokadya w początku rozgniewana na brata i biorąc stronę ojca zrzekła się była zupełnie nadziei widywania się z Celestynem...

Postanowienie to jednak niedługo trwało. Wyplakawszy się przez dni kilka, zaczęła tęsknić i niepokoić się tak, iż w końcu zwierzyła się matce i uprosiła u niej pozwolenie, aby mogła czasem choć w tajemnicy przed ojcem mieć o bracie wiadomość.

Trafiło się dawniej, że Leokadya wyręczając matkę jeździła do miasta, biorąc z sobą starą sługę. Wycieczka jej kilkogodzinna nie mogła na pozór obudzić podejrzenia w ojcu — można mu ją było wytłómaczyć. Stary domyślać się i posądzać mógł córkę, lecz i jego bolało serce — surowym do zbytku być nie chciał. Wszyscy byli ciekawi, jak ten nieszczęśliwy Celestyn da sobie rady w położeniu przykrem, drażliwym, wymagającym wielkiej energii, na której mu właśnie zbywało.

W istocie, byłby może nie umiał sam wydolać temu, gdyby zaraz w pierwszych dniach księżniczka nie opanowała go i nie wzięła pod swe rozkazy. Z dziwną świadomością albo raczej przecuciem tego; co Celestyn powinien był czynić, czego unikać, młoda

panienka dawała mu wskazówki bardzo trafne. Nie miał dla niej tajemnic, bo gdyby nawet chciał w sobie zachować, umiała z niego wydobyć wszystko. Kazała mu po wyniesieniu się od rodziców. nająć mieszkanie w bliskości pałacu. Nie pytając go o środki, przepisała nawet jakie ono być miało, — wchodziła w najmniejsze szczegóły.

Z rana Celestyn musiał się stawić. jak tylko była nbrana.

Przychodził tu na śniadanie. po którym wyprawiano go z najrozmaitszemi poleceniami. Czasem księżniczka jadąc z matką, zabierała go z sobą, afiszując się. jak mówiła ze śmiechem — naumyślnie.

Przygotowania do wesela całą ją zaprzętały... Matka jak we wszystkich jej zachciankach tak i w tem ulegała pieszczosce, ciesząc się, że Jadzia pod ciepłym promieniem szczęścia odzyskiwała zdrowie. siły, świeżość, jakich nigdy nie miała. Wypiękniała nawet. tak. iż wszyscy przyznawali to z przekąsem, mówiąc o cudownem uleczeniu...

Celestyn mało godzin miał wolnych, bo księżniczka ciągle go mieć chciała przy sobie; a dość się jej było zmarszczyć, aby matkę protestującą czasem nieśmiało, zmusić do milczenia.

Siadywali więc narzeczeni po całych dniach z sobą, a nic im tej miłej samotności nie przerywało, bo goście prawie zupełnie bywać u księżny przestali. Obcy przychodzili radko z ceremonialnemi wizytami, familia ostentacyjnie usunęła się oprócz jednej paui Żuliety... I ta nawet bywając prawie codzień, zdawała się z tem ukrywać; przychodziła do księżny, rzadko widywała Jadzię. mikała spotkania z Celestynem.

Księżę Marcin bywał także rzadziej, ale go teraz mniej potrzebowano.

Narzeczony nie mógł tego nie uczuć, iż rodzina cała ignoruje go i nienawidzi.

Jadzia z pogardą o tem mówiąc, dodawała, że potrafi gdy powrócą zmusić rodzinę do zmiany postępowania. Nie chciała dopuścić, aby Celestyn na tem cierpiał, nie dawała mu się poskarżyć, wysmiewała się i odgrażała.

Wielka tylko miłość mogła nieszczęśliwemu osłodzić położenie w istocie nieznośne, npakarzające — okropne. Jadzia też przywiązaniem namiętne płaciła mu i wszystkie wrażenia przykre zacierała. Dziwić się musiał osobliwej dojrzałości tej młodziuchnej istoty, która zdała się mieć doświadczenie długiego życia. Charakter jej nad wiek rozwinięty odbijał się i w twarzy starszej niż lata jakie przeżyła...

Celestyn tchnąć, pomyśleć, zabołec prawie nie miał czasu: albo go powoływano do pałacu, lub posłańcy biegali z listami, których Jadzia po kilka na dzień pisała.

Leokadya wiedziała adres brata; uzyskawszy więc ciche matki przyzwolenie, pojechała do niego i — nie zastała. Kilka godzin bawiąc w mieście dla innych sprawunków, powróciła powtórnie i nie znalazła go w domu. Służący, którego Celestyn z rozkazu narzeczonej przyjąć musiał, oznajmił pannie Leokadyi, że pan rzadko siaduje w domu, wychodzi rano bez śniadania, a powraca często około północy. Na niczem więc spełzły odwiedziny, i Leokadya zostawiła kartkę do Celestyna, prosząc aby jej jaką innego dnia wyznaczył godzinę... Leokadyi nie wypadało

codziennie się wymykać do Warszawy; upłynął więc tydzień nim się mogła zobaczyć z bratem, i musiała przybyć tak rano — aby mu nie przeszkodzić stawić się na zwykłe śniadanie do pałacu.

Z płaczem rzuciła mu się siostra na szyję, a gdy oczy podniosła i wpatrzyła się w niego, nie mogła wstrzymać się od lekkiego wykrzyku. tak go znalazła zmienionym. Nieustanne wzruszenia, wrażenia, niepokój, codzienne prawie upokorzenia, które potrzeba było znosić w milczeniu — podziały tak na Celestyna, iż zdawał się chorym prawie. Piękna twarz jego zbladła była, oczy zapadły, ruchy stały się jakieś gorączkowe i niepewne...

Celestyn zapytał najprzód o ojca i matkę... Leokadya uspokoić go chciała, lecz mimowolnie w uniesieniu wydała się z tym smutkiem, który z domu przyniosła. Nawzajem zaczęła go rozpytywać o niego, o księżnę, o rodzinę, a Celestyn pokrył wszystko, unosząc się nad sercem Jadzi, nad jej przywiązaniem. nad ofiarami, jakie dla miłości jego czyniła.

W pokoju. w którym siedzieli, na biurku stała piękna akwarella wyobrażająca Jadzię, niezmiernie do niej podobna, choć trochę wyidealizowana. Leokadya nie mogła się powstrzymać. aby nie zbliżyć się do niej, nie wpatrzeć — i nie ukryła wrażenia wstrętu, z jakim się odwróciła wprędce od kobiety, której przebaczyć nie mogła, że jej odebrała brata. Rodzeństwo niedawno połączone z sobą tak blisko i serdecznie, teraz stało przy sobie obce, nie rozumiejąc się już i zbliżyć nie mogąc... Celestyn milczał, gdy mu siostra opowiadała o rodzicach, Leokadya chłodno i z widoczną niechęcią słuchała o księżniczce...

— Nigdyż ona nie pomyślała, odezwała się po cichu do brata, że tobie błogosławieństwo rodziców jest potrzebne, że wam obojgu ono na drogę życia należy?

— Widzisz, Leokadyo, moja, rzekł Celestyn, jak względem niej jesteś niesprawiedliwą. Ona sama mi to zaproponowała, ażebyśmy po ślubie natychmiast, nim wyjedziemy za granicę, ndali się do ojca... Chciałem właśnie powiedzieć ci o tem. abyś go wybała i przygotowała...

— Po ślubie! szepnęła siostra — tak! i to jest zapewne z jej strony ustępstwo wielkie, jeżeli nie przekora tylko względem własnej rodziny.

— Przed ślubem ona samowolną nie jest — dodał Celestyn... matkaby nie dopuściła.

Zamilkła siostra. Celestyn gorąco stawał w obronie narzeczonej, wynosząc jej serce, szlachetność charakteru, dobroć, wyrozumiałość — lecz z wejrzeń Leokadyi mógł się przekonać, iż się nawrócić nie dawała...

Spytała z cicha o dzień ślubu... Ten jeszcze naczynony nie był. Wiedział tylko Celestyn, że jak skoro indult uzyskają, natychmiast obrząd się odbędzie prywatnie w kaplicy...

— A my — dodało dziewczę z wymówką bolesną. — my, cośmy ci najbliżsi, może nawet wiedzieć nie będziemy, kiedy się to odbędzie, aby do kogo westchnąć za tobą.

— Za nami! poprawił Celestyn...

Leokadya zamilkła.

Rozmowa zbliżała się do końca, bo Celestyn zmuszony stawić się do narzeczonej, spoglądał na zegarek niespokojnie. Siostra spostrzegłszy to, poze-

gnała go urażona, zimniejsza niż przyszła, i na wschodach łzy się jej puściły znowu.

— A! nie nasz to już Celestyn. wołała w duszy. nie ten. któregośmy kochali i który był tak kochania godzien! Jak ta niegodziwa kobieta zmienić go i ostudzić potrafiła...

Tak myślała biedna. lecz nim dojechała na Pragę, wymogła na sobie, by nie dać poznać matce smutku, jakiego doznała. Litościwe dziecko zamknęło w sobie bolesć. postanawiając przynieść strapionej matce choć kłamaną pociechę...

Jednego z pierwszych dni sierpniowych, rodzina wielce rozgałęziona księżny Eufrezji, bliżsi i dalsi powinowaci, znajomi, przyjaciele odebrali sztychowane zawiadomienie urzędowe o mającym się nazajutrz odbyć ślubie księżniczki Jadwigi z panem Celestynem Junoszą Kormanowskim, a razem zaproszenie, aby bytnością swą obrzęd ten zaszczyścić raczyli.

Mówiliśmy już, że familia najuroczyściej się zobowiązała wskazać nieobecnością swą. jak dalece wyboru nie pochwałała. Jeden tylko ks. Marcin jako opiekun nie mógł nwołnić się od assistowania ślubowi. Za to rodzina wszelkimi możliwymi środkami

starala się podzialać na obcych i wciagnąć ich w ten rodzaj manifestacyi. jaką Jadzie i jej matkę ukarać chciała...

Wiedziano więc w mieście o ślubie, ale słowo sobie dali wszyscy, nie znajdować się na nim. Księżna się po trosze tego spodziewała. nie przypuszczała jednak tak wielkiej solidarności wszystkich członków rodziny, a najmocniej dotknęło ją. iż w wigilią grzecznym listem mymówiła się. składając chorobą. nawet przyjaciółka Żulieta.

Księżna nie mogła jej tego przebaczyć; córka nśmiechała się tylko, a każdy nowy dowód niechęci familii podnosił w niej dumę milczącą. Gdy matka odgrażała się i narzekała. ona starała się unikać nawet wspomnienia o tem, co ją najboleśniej dotykało. a im ludzie więcej okazywali wstrętu dla wybranego przez nią. tem ona czulszą się stawała dla niego..

W ciągu tego dosyć krótkiego stosunkowo czasu. panna Jadwiga rozwinęła się. dojrzała. spoważniała. zmieniła się przybierając już wszystkie formy. które miały jej na całe życie pozostać.

Było w niej coś z tego owocu nadgryzionego przez robaka. który wcześniej niż inne. zarumienia się. dojrzewa i ludzi barwami. będącemi oznaką wewnętrzznego bólu. choć zdają się zdrowia i świeżości dowodem...

Nadszedł nareszcie dzień naznaczony. Księżniczka nie chciała być bardzo przystrojona do ślubu. nbrała się białe. ale skromnie. a że obrząd odbyć się miał po mszy rannej. toaleta zastosowała się do dnia i godziny...

Matka we łzach od rana, to z gniewu przestawała płakać na chwilę, to wybuchała jękiem i rzucała się na szyję córce, zupełnie spokojnej, z twarzą wypogodzoną, uśmiechającej się do niej i do narzeczonego, który blady i poruszony, równie cierpiał jak księżna.

Ks. Marcin wedle wydanych rozkazów zjawił się rano, lecz grał rolę bierną i milczącą. Zabawiał nie mając co robić w salonie starego kanonika Zamulskiego, przyjaciela rodziny, który państwu młodym ślub miał dawać. Obaj oni po cichu ubolewali nad tym wypadkiem, a starszek pocieszał się tylko wolą Bożą i niedościgłymi widokami Opatrzności...

Chociaż ludzić się już nie było można, iż z rodziny ktokolwiek przybędzie, księżna rozkazała małą kapliczkę przystroić w kwiaty i zieleni, obwieszać wieńcami, zasypać różami... Domownicy, ile ich było, zapelniali wcześniej korytarz prowadzący do niej i przed sienie...

Księżniczka była jeszcze w swoich pokojach, Celestyn siedział sam w jej saloniku. Nie spodziewano się już nikogo, gdy ks. Marcin ujrzał z podziwieniem otwierające się drzwi i Rymund we fraku i białych rękawiczkach, z rumianą swą puciołowatą uśmiechniętą twarzą zjawił się, witając wesoło opiekuna i kanonika.

Księżna, której o tem donieść pośpieszono, wybiegła naprzeciw niemu, obie ręce wyciągając, z nniesieniem wdzięczności najżywszem.

— A! ten Rymund pocziwy! wołała. Bóg ci to nagrodzi!

— Mościu księżno! odezwał się Litwin rubaszenie: nie będzie mnie pan Bóg miał za co płacić. bom dopełnił obowiązku — bardzo miłego dla mnie!

Rymund wniósł do smutnego domu trochę weseła, które go nigdy nie opuszczało... Dano o nim znać księżniczce. a ta kazała go prosić do siebie i już w bieli, z wieńcem pomarańczowych kwiatów na skroni, wybiegła ścisnąć jego rękę.

— Nigdy ci tego nie zapomnę! rzekła poważnie.

Nie oczekiwano już nikogo, i w salonie narzeczeni, wedle obyczaju przyszli prosić o błogosławieństwo najprzód matki, opiekuna, potem wszystkich przytomnych... Księżniczka podała wprost rękę narzeczonemu i w parze z uim, z główką podniesioną. śmiała, majestatyczna wkroczyła do kaplicy, gdzie klęczniki dla obojga były przygotowane.

Ks. Eufrezya nie mogąc się w płaczu utulić, przez całą mszę z zakrytą twarzą, schylona łązy ocierała. Ciche jej szlochanie słyhać było ciągle, przerywające szeptanie kanonika i szmer zebranego u drzwi dworu. Z tą samą energią nieopuszczającą jej na chwilę, księżniczka postąpiła do ołtarza z Celestynem... Przysięga jej brzmiała głośno i wyraźnie, tak, że wszyscy słyszeć ją mogli...

Kanonik był poruszony i drżący...

Po krótkiej modlitwie wszyscy się udali na przygotowane śniadanie. Młoda pani zatrzymała się tylko chwilę w korytarzu i zadysponowała. aby za parę godzin konie były gotowe gdyż potrzebowała z mężem wyjechać na miasto...

Matka dosłyszawszy wydany rozkaz, zbladła i zmieszła się.

— Dokądże chcesz jechać? szepnęła przysuwając się do córki — dokąd?

Jadwiga zaczęła odpowiedź od pocałunku.

— Mamciu kochana — rzekła, — dosyć już wymęczyłam mojego Celestyna, i dla niego coś uczynić potrzeba. Pojedziemy do rodziców jego po błogosławieństwo. Winnam to mojemu mężowi.

Księżna nie śmiejąc się sprzeciwić, spojrzała na córkę błagając.

— Ale dla czegoż dziś? i to tak jawnie, tak głośno? spytała.

— Dla tego, aby to nie pozostało tajemnicą dla rodziny — odparła pani młoda. Pocciwy Rymund, który zna starego ojca i jest z nim dobrze, nie odmówi nam i towarzyszyć będzie...

Litwin dosłyszawszy, głośno potwierdził:

— Jadę i cieszę się z tej myśli.

Nie mogła więc księżna sprzeciwić się, westchnęła tylko...

Przy śniadaniu Jadzia była w jak najlepszym humorze, ożywiona, roztrzepana prawie i szczęśliwa. Nieśmiałego Celestyna podbudzała ciągle żartobliwie, aby już grał rolę gospodarza.

— Jesteś tu panem. mówiła głośno: mama dziś biedna głowę traci, ja nie mam pamięci na nic, bom szczęśliwa, ty powinieneś zastąpić nas wszystkich.

Pomimo usiłowań pani młodej, towarzystwo ożyć się i rozchmurzyć nie mogło, i jeden tylko Rymund zabawiał je żarcikami... On też jeden miał, apetyt szlachecki, w każdej godzinie gotowy do półmiska i kieliszka, nabierał sobie, rozdawał drugim nalewał, i pierwszy wniósł zdrowie państwa młodych.

Ks. Marcin czując się słabszym niż kiedykolwiek, skłopotanym, zbiedzonym, nie znalazł na to innej rady nad wzmocnienie się winem. Rymund pilnował go i napełniał kieliszek, a wyzywał do spełniania go z sobą, i skutkiem tych libacyj w końcu opiekun zarumieniony, uczuł wstępujące w siebie męztwo i determinacyę. Zdawało mu się na chwilę, że gotówby był stawić czoło choćby całej sprzymierzonej przeciw sobie klice, a w duchu powtarzał ciągle: — Pal ich dyabli!!

Śniadanie przedłużyło się więcej niż obrachowano. Pani młoda szepnąwszy coś mężowi i matce, wstała, prosząc, aby wszyscy zostali u stołu, póki ona nie powróci. Szła się przebrać. Przed wieczorem chciała koniecznie być na Pradze, nazajutrz wyjeżdżali za granicę...

Gdy się to działo w pałacu, na Pradze od powrotu Leokadyi, ojciec stary ciągle nieswój i uskarżający się na ból głowy, coraz się czuł gorzej. Rumianek pani Moniki nie pomagał, zawezwano doktora Maniszewskiego, staruszka, który z p. Joachimem był od dawna w stosunkach... Ten nieprędko przybywszy, zastał starego w łóżku, z gorączką silną, i choć pocieszał, że ona prędko przejdzie, a składał ją na gastritę, przed panną Leokadyą na osobności wyznał, że go za późno wezwano.

— To bo się już dawniej począć musiało — rzekł, — ale stary, silny, choć się powinien był położyć, włóczył się i dźwigał — a teraz.. choroba górę wzięła..

Na zapytanie czy nie ma niebezpieczeństwa? Maniszewski odparł, że sumienny doktor nigdy nie może za nic ręczyć.

— Ojciec asindzki niemłody jest, a choć krzepki, ale to z temi naturami silnemi nam najgorzej. Ze słabowitemi, co nawykli kawęczeć, da sobie człowiek radę; a to są dęby. co długo stoją, lecz gdy przyjdzie burza, jednym zamachem je obala...

Złękła się panna Leokadya, a stary doktor ramionami poruszył. Kazał po swój worek podróżny posłać do domu i ulokował się już stale we dworku, w dawnym pokoju Celestyna. Ażeby pani Moniki nie przestraszać, wytłómaczył jej to tem, iż więcej dla zabawienia i dystrakcyi przyjaciela, niż dla leczenia go chciał być przy nim. Choroba szła bardzo szybkim krokiem — i mimo wszystkich środków, jakie Maniszewski wspólnie z zawezwanym kolegą przepisywał, powstrzymać jej w biegu nie było podobna... W kilka dni stracono nadzieję...

Jedna pani Monika, nawykła w długiem życiu widywać męża zawsze wychodzącego zwyczajko ze wszystkich cierpień, nie przypuszczała, aby mu co mogło zagrażać. Poila go ziółkami, okrywała, i widząc załzawione oczy córki, pocieszała ją upartem:

— Przesili się to lada godzina, zobaczysz.

Leokadya wiedziała już od lekarzy, że wszelka nadzieja stracona była. Zdaje się, że i p. Joachim miał poczucie stanu swojego, gdyż po cichu prosił córki, aby mu księdza sprowadziła w takiej godzinie, w której p. Monika odpoczywała, ażeby jej nadaremnie nie trwożyć. Stało się jak pragnął.

Córka z mężstwem heroicznem, od wielu dni nie kładąc się, nie spoczywając, starcząc za wszystkich, musiała oszczędzać matkę, służyć choremu, i połykać łzy, aby boleści nie zdradzały.

Chciała ona posłać po Celestyna koniecznie, lecz ojciec jakby się tego domyślał, powiedział jej, aby się nie ważyła go niepokoić.

— Wiem, szepnął po cichu, iż w tych dniach ślub jego się odbędzie — niechże mu moja choroba nie za-truwa tych chwil. Ja go z daleka błogosławiłem i błogosławię. Zakazuję ci mu oznajmować.

Córka musiała się do tego zastosować. W samą wigilię wesela. wieczorem stary p. Joachim ująwszy w zimne dłonie rękę żony, która przy nim siedziała, spojrzawszy na stojącą tuż córkę, spokojnem westchnieniem żywot poczciwy zakończył...

Niechcącą wierzyć w ten zgon. biedną staruszkę musiano gwałtem od zwłok oderwać, a doktor poszedł czuwać nad nią. Starania wszelkie o pogrzeb i przygotowania do niego spadły teraz na Leokadyę, która miała jeszcze dość siły, aby obowiązkom tym podołać.

Nie miała nikogo coby ją wyręczył; a bratu — nie chciała śpieszyć z oznajmieniem o nieszczęściu...

W tym samym pokoiku, w którym niegdyś p. Joachim pacierze odmawiał. na skromnym tarczanie złożone były zwłoki jego, gorejącemi otoczone świecami. Kilka wazonów ustawiła przy nich córka własnymi rękami... Zapłakana klęczała, patrząc na wypogodzone ojca oblicze i modliła się — gdy pod wieczór drugiego dnia, właśnie gdy trumna była spodziewana, w spokojnej uliczce dał się słyszeć turkot powozu...

Cała w myślach swych i cierpieniu, Leokadya nie byłaby zwróciła na to uwagi, gdyby sługa nie przyszła jej oznajmić, iż — jacyś państwo do dworku zajechali.... W chwili gdy pan Celestyn drżący wysiadał z powozu i miał rękę podać żonie, oczy jego

padły na otwarte okna pokoiku ojca, spostrzegł gorejące światła u katafalku i — osłupiał... Jadwiga już mająca wysiadać rzuciła wejrzenie na domek — serce jej nderzyło przecuciem jakimś. Doszedł ją głos posępny wikarego. który nucił powolnie modlitwę nad umarłym...

Rażona tym widokiem pani młoda, niewiele potrzebowała czasu, aby oprzytomnieć. Mąż jej stał bladej i osłabły; wyskoczyła z powozu i schwyciła go za rękę...

Nie mówiąc słowa, skierowała się z nim razem do sieni, i weszła na próg izby, w której ciało było złożone... Uklękli u zwłok oboje... Leokadya, która powstała przestraszona, pierwszy raz w życiu oko w oko spotkała się z wejrzeniem tej — którą za nieprzyjaciółkę swą i wroga rodziny miała...

Bolesć czyniła Leokadyę tak piękną, tak wyszlachetnioną, tak dumną — nadawała jej taką wyższość nad tą drugą niewiastą samowolną, rozpieszczoną, a teraz zawstydzoną i przygnębianą. iż młoda pani wzroku jej wytrzymać nie mogła. Zwyciężona spuszczała oczy, lecz zarazem uczucie gniewu jakiegoś sercem jej poruszyło... Pierwszy raz widziała na jakie ofiary serca naraziła nietylko własną rodzinę, ale tego, którego kochała... Los rzucił jej na progu nowego życia tego trupa, którego może cichy żal po synu wiódł do grobu...

Celestyn płakał. padłszy na kolana, i drżał... Leokadya usunęła się na bok dumnie. Wśród ciszy głos tylko śpiewającego psalterz kapłana brzmiał jednostajnym stłumionym jękiem...

Długą chwilę Jadwiga przebyła, to chwytając męża za rękę, to oczyma przestraszonymi oglądając się dokoła, po tym dworku ubogim, w którym uczuła dopiero, jaka przestrzeń dzieliła ją od wybranego.

Ludzie właśnie do sieni przychodzili z trumną, gdy Jadzia, na której ten widok coraz przykrzejsze czynił wrażenie, wstała nie mogąc już wytrwać dłużej. Dusił ją to powietrze grobowe, kadzidłem i wonią świec katafalkowych przejęte... Celestyn ocucony jakby ze snu okropnego, podniósł się wodząc oczyma obłąkanemi do koła. Siostra stała o kilka kroków nie zbliżając się do niego, żona wołała na niego błagając litości.

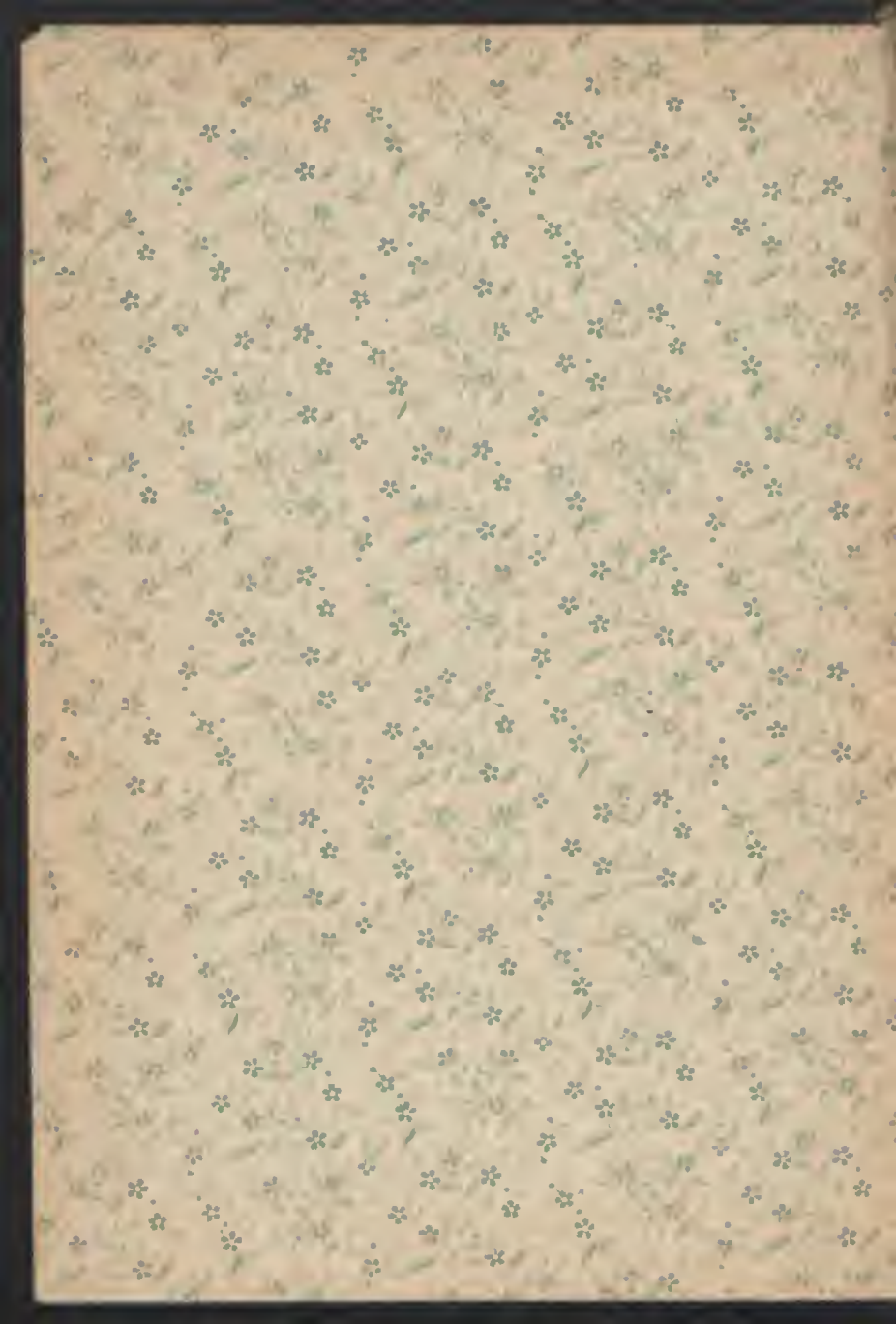
— Na miłość Boga. jedźmy — słabo mi — nie mogę dłużej.

Twarcz jej okrywała bladość śmiertelna. znamionująca jedno z tych przesilen, w które niekiedy księżniczka wpadała. Celestyn zapominając o wszystkim, musiał ją na ręce pochwycić, i co prędzej wyjść, a bar dziej wynieść na świeże powietrze. W sieni drogę im zapierała trumna. ludzie coby prędzej usunęli ją, aby przejść mogli. Celestyn oglądał się za siostrą, ale ta już oczy zakrywwszy, klęczała u katafalku...

Nie mógł nawet zapytać o matkę: księżniczka głosem słabym, coraz bardziej nagłym. powtarzała:—Jedźmy—umieram! jedźmy...

Z pomocą służącego dźwignięto ją osłabłą napowrot do powozu, a Celestyn samej nie mogąc pozostać, musiał sięść razem i towarzyszyć do placu, do którego przywiózł ją na pół omdlałą...







Biblioteka Raczyńskich

JK 220



JK0220